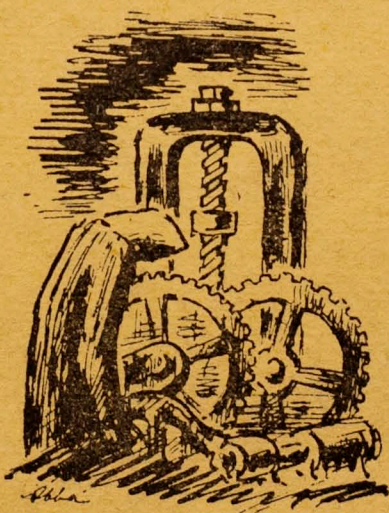


RÓŻA BAUMINGER

PRZY PIKRYNIE I TROTYLU



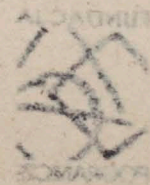
KRAKÓW 1946

OKŁADKE PROJEKTOWAŁ I WYKONAŁ
ABBA FENICHEL



PRZY PIKRYNIE i TROTYLU

(OBÓZ PRACY PRZYMUSOWEJ
W SKARŻYSKU-KAMIENNEJ)

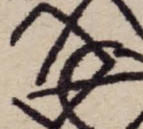


RÓŻA BAUMINGER

PRZY PIKRYNIE I TROTYLU

(OBÓZ PRACY PRZYMUSOWEJ
W SKARŻYSKU-KAMIENNEJ)

lav 40-
FUNDACJA



POGRANICZE

1921

(No 1) kancelaria

KRAKÓW 1946

KOLEGIUM REDAKCYJNE:
MICHAŁ M. BORWICZ
M. HOCHBERG-
MARIAŃSKA
J Ó Z E F W U L F

Centralny Komitet Żydów Polskich

Drukarnia I pod Zarządem Państwowym, Kraków, Wielopole 1.

M—11464

PRZEDMOWA

Gdyby autorka pamiętnika przeczytała dziesięć lat temu taki lub podobny utwór, byłaby przerażona, że jest w człowieku tyle zbrodniczej fantazji, taka ponura wyobraźnia.

Róża Bauminger była przed wojną nauczycielką gimnazjalną. W czasie wojny znalazła się w ghetcie w Krakowie, potem w obozie w Płaszowie, skąd wywieziono ją do obozu pracy przymusowej, naprzód w Skarżysku—Kamiennej w Polsce, potem w Schönefeld pod Lipskiem, w Saksonii. W obozach spędziła 28 miesięcy a szybkie postępy Czerwonej Armii i łut szczęścia sprawiły, że kolejka śmierci, która pochłonięła miliony dzieci, kobiet i mężczyzn, urwała się zanim Róża Bauminger przekroczyła próg krematorium.

Wróciła znów do rodzinnego Krakowa, gdzie jednak ani ona, ani inni jej podobni nie znaleźli swej rodziny ani swego ogniska. Nie ma też dzieci żydowskich, któreby napęłniły mury szkół gwarem głosów i swawolną radością młodych. Nie wrócą już z dalekiej drogi w nieznaną, w którą ruszyły w wagonach dla bydła, w odrurowanych klatkach, wysypanych niegaszonym wapnem.

Autorka strącona na dno nędzy i poniżenia, mierzona głodem, umartwiana pracą ponad swe fizyczne siły, w ciągłej świadomości, że w każdej chwili czyhała na nią śmierć, musiała przykładać ręki do fabrykacji pocisków, które z woli lotrów niemieckich służyły do niszcze-

nia jej własnych braci i sióstr, matek i ojców, Żydów i Polaków na podbitej, wydanej na zniszczenie ojczystej ziemi.

Mimo skromność, która posuwa się do niespotykane- go we wspomnieniach obozowych stopnia bezosobowo- ści i właśnie dlatego, książka ma w sobie siłę prawdy. Zdobyła ją autorka rękami żółtymi od trotylu, przez cier- pienia własne i ludzi, co wraz z nią zmuszani byli do wy- konania tysięcy mechanicznych ruchów przy fabrykacji granatów, zanim zagnani zostali do szpitalnego baraku, by dogorywać w śmiertelnej gorączce, lub iść na śmierć od kuli albo gazu. Poznała prawdę autentyczną, utrwa- liła ją w opisie, uwieczniła w szczególe, prawdę realną i realistyczną, wierną nawet w malowaniu błędów nie- szczęsnych więźniów, którzy tyle razy nie wytrzymali nacisku i ulegali deprawacji.

Miną lata i wraz z nimi prawda ulegać będzie mitolo- gizacji. Zacznie tracić żywy jeszcze zapach krwi i swąd ciał, które w sercu świata, w Europie, w kilka tysięcy lat od chwili spisania pierwszych pomników prawa, dniem i nocą płonęły w Oświęcimiu, Majdanku i Treblince, przed tym zaś, gdy były jeszcze żywymi ludźmi, pod lu- fami automatów w jarzmie dawały pracę jako nieme, głodne i brudne bydło robocze.

Wspomnienia Róży Bauminger i innych ocalałych z pogromu pozostaną nazawsze dokumentem: oskarżenia nie tylko narodu, który upadł, lecz systemu dla którego nie ma pokuty, wybaczenia i pardonu. I dla źródeł syste- mu ukrytych głęboko w gospodarczych, społecznych i po- litycznych problemach naszego przełomowego czasu.

Pozostaną one przestroga, że należy wszystko uczy- nić, aby nad człowiekiem znów kiedyś nie zapanował gwałt. Upomnieniem, że musi być zniszczone nie tylko to, co go przypomina, druty, obozy, piece, naszywki, że

muszą być usunięci spośród ludzi wszyscy sprawcy zbrodni. Niepisany testament milionów zameczonych w obozach zniszczenia, przymusowej pracy, koncentra- cyjnych i jenieckich — żąda wyrwania z korzeniem zbrodni, wygnania jej na zawsze poza obręb rodziny narodów. Pożółkłe przy pikrynie i trotylu ręce nie tylko wskazują sprawcę, lecz budzą sumienia, by nie usnęły ani nie osłabły.

Róża Bauminger, niechcący, bez swej woli urasta ponad miarę nauczycielki dzieci, którą była dawniej. Ta jedna z bardzo niewielu, która uszła śmierci, przynosi naukę, zdobytą w lasach pod Skarżyskiem, w miejscu zapomnianym przez Boga, przeklętym przez człowieka. Jest protokolantem woli współtowarzyszy i współwięź- niów. Pod tym aktem należy umieścić niekończące się kolumny podpisów takich, co umieli pisać, i takich któ- rzy jeszcze nie posiadli tej sztuki, bo byli w latach dzie- cięcych.

Dlatego książka powinna dotrzeć do ludzi w tylu ję- zykach w ilu słowo prawdy trafia do niezepsutych serc, od których zależy przyszłość świata. Do pokolenia mają- cego obowiązek odbudowania etyki ugruntowanej na niezwruszonych zasadach społecznej sprawiedliwości.

*

W dosyć bogatej literaturze obozowej, która się u nas ukazała, przeważają wspomnienia i opisy z obozów koncentracyjnych, odosobnienia i zniszczenia. Nie ma dotąd wspomnień jeńców wojennych, prawie nie ma z obozów pracy przymusowej. I w nich ostatecznym ce- lem było zniszczenie więźniów, po wydobyciu z nich da- niny pracy. Wznowiona instytucja niewolnictwa dopro- wadzona została do postaci, która przez samą osobliwość skupia zainteresowanie badaczy, socjologów i psycholo-

gów. Skazani na śmierć uzyskiwali odroczenie za cenę krwawego trudu, w warunkach które oschłym językiem naukowym można określić jako będące poniżej granicy regeneracji siły tych, którzy pracowali. Do cierpień zadawanych więźniom dołączała się męcząca świadomość, że pomagają wrogowi w dziele niszczenia własnych przyjaciół, tego co najbliższe.

Z publikacji Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie jedna tylko po części dotyczy obozu, który w pewnej mierze był miejscem pracy przymusowej. Jest to M. Borwicz „Uniwersytet Zbirów”, o obozie we Lwowie, przy ul. Janowskiej, gdzie więźniowie wykonywali pracę. Ale służyła ona tam jako jeden z czynników torturowania ludzi. Obozem produkcyjnym było Skarżysko-Kamienna, którego dotyczy praca Róży Bauminger.

Autorka nie daje pełnego obrazu instytucji, w której żyła kilka miesięcy. Nie miała warunków, aby objąć całe środowisko, nie mówiąc już o warunkach, w których dokonywała swych obserwacji. Ale ze świeżych jeszcze wspomnień wznawia wiele istotnych spostrzeżeń o urządzeniach, organizacji, rzeczach i ludziach, które pozwalają zrekonstruować jedno z tysięcy zgrupowań niewolników, wprzęgniętych w pracę dla niemieckiego przemysłu wojennego. Zgrupowanie w Skarżysku—Kamiennej było kolonią niewolników „Hasagu” — firmy o pełnym brzmieniu nazwy: Hugo Schneider Aktiengesellschaft. Akcyjne towarzystwa, koncerny i trusty niemieckiego kapitału przemysłowo-finansowego doszły w eksploatacji człowieka pracującego do formy niewolnictwa znanego w starożytności i pobiły antyczny rekord brakiem jakichkolwiek względów i brutalnością.

Pierwsza publikacja o obozie pracy przymusowej zyskuje tym większą wartość.

Józef Sieradzki.

I.

NIEWOLNICY

15 listopada 1943 roku w Płaszowie zamknięto nas w barakach pracy, a nazajutrz załadowano do zaplombowanego pociągu. Powiedziano nam, że jedziemy do obozu pracy do Skarżyska. Widziałyśmy już u kresu naszej drogi czekające nas krematorium i byłyśmy pewne, że jedziemy na śmierć, zwłaszcza, że nie pozwolono nam zabrać bagaży, a niektóre pojechały nawet bez wierzchniej odzieży. Nie wierzyłyśmy słowom komendanta obozu Goetha, który przed wywózką zapewniał nas, że jedziemy do pracy, do fabryki amunicji. Nigdy dotychczas nie słyszałyśmy o Skarżysku, choć o innych obozach dochodziły wieści.

Przyjechałyśmy późną nocą. Przed pociągiem oczekiwali nas żołnierze Wehrmachtu i Ukraińcy uzbrojeni po zęby. Żołnierzom towarzyszyła sfora psów.

Wlokłyśmy się bezbronne, otoczone zgrają zbirów przez ciemny las, pewne, że to ostatnia nasza droga. Mózg przewiercała myśl: dokąd prowadzą? Po przeżyciach płaszowskich nie wierzyłyśmy w możliwość ratunku. Zresztą poco ta męka? Jeżeli nie tu, to później czeka nas zagłada. W dręczącej niepewności oswajałyśmy się z myślą o śmierci, która wydawała się nieunikniona. Młoda dziewczyna szła półprzytomna, w gorączce tyfusowej. Był to dziesiąty dzień jej choroby i koleżanki ciągnęły nawpół żywą pod górę. Łkały zroz-

paczone matki, zmuszone do pozostawienia dzieci w Płaszowie. Bezradne szły kilkunastoletnie dzieci, oderwane od pozostawionych w Płaszowie rodziców, których już nigdy więcej nie miały ujrzeć.

Nagle wśród drzew ukazały się baraki upiornie oświetlone. Konwojujący nas żołnierze objaśnili nam, że to obóz pracy, do którego zdążamy. Wtedy powstała w nas nadzieja, że może jednak nie idziemy na śmierć. Kiedy po przebytej rewizji wpuszczono nas do baraków i zrozumialiśmy, że czeka nas doprawdy praca, a nie krematorium, ogarnęła nas bezgraniczna radość. Kobiety uszczęśliwione, nie zważając na brud i nędzę baraków, rzuciły się na gołe deski prycz.

Po przespanej nocy ukazało nam się nowe miejsce naszej kaźni w świetle dziennym. Ujrzałyśmy się odgródzone od świata murem kolczastych drutów, a za drutami ciągnął się las, z którego dochodziły odgłosy wystrzałów. Na małej przestrzeni wśród niewysychającego błota znajdowało się kilka brudnych baraków.

Zaraz w pierwszym dniu powiedziano nam, że obowiązuje tu upiorna żółta praca przy pikrynie, „żółte przekleństwo“, które dziesiątkuje więźniów i zobaczyłyśmy pół nagich ludzi odzianych w papiery, opuchłych z głodu, owrzodzonych. Od razu na wstępie dowiedziałyśmy się, że na samym tylko „werku C“ zginęło w krótkim czasie około 10 tysięcy ludzi i jeżeli ktoś chce żyć, musi stąd uciekać, bo w tych warunkach niepodobna długo wytrzymać, a każdy skrawek ziemi dokoła obozu przesiąknięty jest krwią skatowanych więźniów.

• Katorga ta trwała już od 1940 roku. Firma niemiecka „Hasag“ (Hugo Schneider Aktiengesellschaft) rozbudowała na wielką skalę Państwową Fabrykę Amunicji w Skarżysku. Do fabryki zwożono jako siły robocze Ży-

dów, schwytyanych w łapankach ulicznych, lub kontyngent ludzki wymuszany na „Judenratach“.

Z początku Żydzi nie pracowali w fabrykach, a tylko przy budowie dróg, karczowaniu lasów i wyładowywaniu wagonów. Pracowali ponad siły, pod knutem, co dzień było kilka wypadków śmierci, kilkunastu wracało zbitych, niezdolnych do pracy. Traktowanie było tak brutalne, że więźniowie, by dostać zwolnienie dawali sobie wstrzykiwać benzynę, co wywoływało obrzęki.

Od roku 1942 zaczęli Żydzi pracować we fabryce na halach. Przed wojną nie przyjmowano żydowskich robotników do fabryki amunicji. Robotnicy mieli wówczas bardzo dobre warunki higieniczne, ochronne ubrania, maski i rękawice, byli dożywiani podczas pracy i dobrze wynagradzani. Przy pikrynie pracowano w ten sposób, że po dwóch godzinach zajęć robotnicy odpoczywali dwie godziny. Była kantyna, zaopatrzona w biały chleb, wędzonkę i mleko. Chodziło o to, by praca tak szkodliwa dla organizmu nie rujnowała zdrowia.

Polacy, jako obeznani z pracą w fabryce amunicji, zajęli w obozie stanowiska majstrów i przodowników.

Były trzy „werki“: A, główny: tu mieściło się najwięcej hal, stąd odchodził wyprodukowany materiał, tu były największe fabryki: pociskownia, narzędziownia stara i nowa karabinówka, wytwórnia automatów. „Werk B“ to mały obóz, najlepszy pod względem higieny. Najgorszy był „werk C“ położony w lesie, gdzie były zamaskowane budynki daleko od osiedli, ze względu na wybuchowy materiał, którym wypełniano pociski wyrobiane na innych werkach.

Fabryki zajmowały kilka kilometrów kwadratowych, baraki $\frac{1}{2}$ kilometra kwadratowego na werkach A i C. Na werku B były cztery małe baraki. Baraki kobiece i męskie nie były oddzielone drutem kolczastym.

Cały obóz otoczony był dwoma płotami z drutu kolczastego — zewnętrznym i wewnętrznym. Druty nie były naelektryzowane. Mimo to ucieczka była utrudniona, ponieważ w lesie stały gęsto rozstawione strażerki werkschutzów uzbrojonych w karabiny maszynowe, a pomagali im zdemoralizowani osobnicy spośród miejscowej ludności, którzy za wódkę wydawali zbiegów.

Na czele każdego werku stał jeden Niemiec jako Lagerführer, posługujący się całym sztabem zdemoralizowanych osobników, którzy za cenę obietnicy przetrwania wojny wraz z rodzinami zaprzędali się Niemcom.

Na werku C ukrytym w lesie, zamaskowanym, pracowali więźniowie w potwornych warunkach przy pikrynie i trotylu, bez środków ochronnych, narażeni w każdej chwili na wybuchy i zatrucie, nie mówiąc już o nieustannej, w każdym obozie żydowskim groźbie śmierci.

Nie było tu długich apeli, ponieważ o każdej porze dnia i nocy wychodziły **komanda** do pracy i trudno było zebrać razem wszystkich więźniów. Stało się na placu apelowym na wilgotnej leśnej polanie, na której błoto nigdy nie wysychało. Więźniowie stali w podartych drewniakach i boso w wodzie lub na śniegu. Gdy bajorki ściałał mróz, ślizgali się po lodzie.

Baraki były drewniane o ścianach nieuszczelnionych. Przez szpary między deskami można było wyglądać na dwór. Drzwi i okna nie domykały się, szyby były wybite, podłogi dziurawe, przez wyrwy przeglądała ziemia. Jako opał służyły wilgotne gałęzie zrywane w lesie lub organizowany na halach węgiel. Prycze były dwupiętrowe, rozchwiane, bez sienników i koców, posłanie z wiórów drzewnych, które przemycano do obozu z fabryki pod groźą najcięższej kary. Z powodu robactwa bezsenne

noce były koszmarne. Zamiast wypoczynku stanowiły one męczarnię.

Panował brud i smród nie do opisania. Potrzeby naturalne załatwiano w baraku, gdyż do każdego, kto ośmielił się wyjść w nocy za potrzebą, strzelali Ukraińcy.

Gdy przybył transport z Majdanka zapewniono ludzi, że im nic nie grozi w nocy w razie wyjścia za potrzebą. Wyszło więc sześciu śmiałków spośród nowoprzybyłych. Po chwili padły strzały i usłyszano przeraźliwy krzyk. Z sześciu wróciło dwóch, którym udało się zbiec. Nad ranem sprzątnięto ciała ofiar, które leżały przed barakiem.

Obok baraków znajdowała się latryna bez drzwi, do której nie można było podejść, bo grzęzło się po kostki w kale. Latryną były cztery dziury, z jednej i drugiej strony przegrodzone deską. Czyszczono latrynę raz na tydzień i dopiero na wiosnę 1944 roku po wielu komisjach wyznaczono stałego sprzątacza i posypywano kał wapnem. Ściany boczne latryny pełne były dziur, a ponieważ nie było ścieków, kał spływał ku barakom. Stąd smród rozchodził się po całym obozie.

Koło latryny była paka na trupy. Gdy się nagromadziła większa ilość trupów, ładowano je jak śmiecie na wóz i wywożono niewiadomo dokąd.

W obozie był *Waschraum*, pralnia, fryzjernia, kawiarnia. *Waschraum* mieścił się w osobnym baraku, oddalonym o kilkaset kroków od baraków mieszkalnych. Przez wybite okna wiał lodowaty wiatr. Mróz panował, jak na dworze. Załatwiano się często w *waschraumie*, bo pójście do latryny było niemożliwe. Nie można się było myć z powodu niewielkiej ilości kurków, które były przeważnie zepsute. Prawie nigdy nie było wody. W zimie woda zamarzała, w lecie, w czasie największych upałów, obóz był bez wody.

Najbardziej dawał się brak ten odczuwać, gdy trzeba było wreszcie przeprać zabrudzone łachmany.

W pralni były dwa wmurowane do pieca kotły, w których znajdowała się zazwyczaj woda, pełna wszy i zawszonej bielizny. Za przepierzeniem koło drzwi stała wanna, zawsze brudna, przeznaczona do kąpieli dla potyfusowych. Wiało, jak na dworze. Brudną wodę z zawszonej bielizny wlewano warzachwią do wanny. Więźniowie wyczekiwali godzinami na kolejkę, bo pierwszeństwo mieli protegowani. Królowała bezapelacyjnie ordynarna, otyła megiera, analfabotka, postrach tych śmiazków, w których nie zanikła potrzeba czystości. Usiłowali wydostać od niej trochę ciepłej wody do wyprania brudnych, przesiąkniętych trotylem łachów lub umycia się. Chorzy, ozdrowieńcy potyfusowi, wyczerpani po chorobie, na spuchniętych nogach wychodzili po takiej kąpieli pół przytomni od oparów łaźni i wrzasków baby. Należała ona do tych jednostek, które przewrotność systemu zdemoralizowała do reszty.

Było czterech fryzjerów, którzy golili lagrowców. Więźniom zależało na tym, by byli starannie ogoleni i ostrzyżeni, bo Niemcy bili za niedbały wygląd. Poza tym zarost nadawał starszy wygląd, podkreślał zapadłość twarzy, co mogło być decydujące podczas selekcji. Tylko zupełnie zrezygnowani i wyczekujący śmierci jak wyzwolenia, nie dbali już o wygląd zewnętrzny.

Kawę wydawano w budzie, która mieściła się koło pralni. W początkach istnienia obozu chodziło się po kawę o 3-ciej w nocy. Po niejednej takiej ekspedycji kilka trupów zostawało na śniegu.

Z początku nie było ambulatorium. Jako szpital służył dawny barak dla koni, bez światła, brudny i cuchnący zaduchem. W czasie deszczu lała się woda strumie-

niami przez dziurawy dach, na chorych. Fala smrodu bijąca z wnętrza baraku odpychała od drzwi. Więźniowie pozbawieni opieki leżeli na podłodze w poszarpanych szmatach, często prawie nędzy bez koców, okradani w dodatku z fasunku. Niezliczone wszy chodziły po opuchłych z głodu ciałach.

Chorzy na tyfus nie mieli osobnego baraku, toteż w jednej norze leżeli obok siebie gruźlicy, skaleczeni przy pracy, opuchli z głodu, owrzodzeni, chorzy z ropiejącymi ranami i odmrożeniami. Choćby ktoś konał z pragnienia, nikt nie podał mu wody. Nieprzytomnym zabierano lepsze rzeczy, umierającym i trupom wyrywano złote zęby. Aby zwolnić miejsce dla nowych ofiar, co kilka dni odbywały się wywózki chorych na strzelnicę.

Aż do czasu przybycia transportu z Majdanka nie było w Skarżysku lekarza, a tylko pełniący funkcje sanitariuszy bez żadnych kwalifikacji; łakomili się na tę posadę, która ich chroniła przed morderczą pracą na halach i dawała możliwość nieco lepszego życia, z krzywdą okradanych chorych.

Co kilka dni odbywały się *selekcje* w szpitalu. Wtedy opróżniano prawie cały szpital i chorych autami wywożono na strzelnicę. Nadto ofiarami padali starsi, źle wyglądający i obdarci.

Do Skarżyska przyjeżdżały też kobiety w ciąży. Gdy *Wachführer* zauważył kobietę ciężarną, zarządził, by wykończyć mające przyjść na świat niemowlę przez zamorzenie go głodem. Nie zatruwano dzieci zastrzykami, bo szkoda było morfiny i dziecko zawinięte w papier leżało na pryczy, a matce nie wolno się było do niego zbliżyć. Po kilku dniach małości umierały.

Dr Wasserstein, więzień i lekarz obozowy opowiada o wypadku, który zdarzył się podczas jego praktyki:

„Raz w zimie, w trzaskający mróz wracałem od chorego. Przechodząc koło latryny, obok której znajdowała się skrzynia przeznaczona na składanie trupów, usłyszałem kwilenie. Podeszedłem do skrzyni. Wśród trupów znajdowało się nagie niemowlę, sine od zimna, a obok skakały szczury. Dziecko poruszało rączkami, nóżek nie widziałem, bo były przykryte trupami. Trudno było wyciągnąć dziecko spod zamrożonych trupów, zaledwie bowiem udało mi się wyciągnąć jednego trupa, ześlizgiwały się na to miejsce inne. Wreszcie przyszła pomoc. Kilku chłopców zabrało się do odgarnięcia trupów i śniegu. Schowałem dziecko pod palto i zaniósłem do szpitala.

Dowiedziałem się, że Wachführer, widząc ciężarną kobietę wracającą z pracy, zarządził, ażeby dziecko, które przyjdzie na świat, uśmiercić. Było to właśnie dziecko, które uratowałem. Zaniósłem je do szpitala, gdzie pozostawiono je o głódzie, nie pozwalając go matce karmić. Dziecko morzone głodem żyło jeszcze pięć dni, kwilenie stawało się coraz słabsze, wreszcie ucichło”.

(Archiwum W. Ż. K. H. w Krakowie Lb. 387).

Życie w lagrze upływało w ciągłym strachu i grozie. Kto miał porządne buty i ubranie, był niepewny życia, bo Ukraińcy prowadzili takich za druty i strzelali, po czym meldowali, że zastrzelili ich w ucieczce. Gdy ktoś uciekł, padało ofiarą dziesięciu.

O sadyźmie Niemców opowiada jeden z pierwszych więźniów w Skarżysku, Henryk Zajac:

„Z końcem września 1941 roku odbył się ogólny apel. Naczelny dyrektor obchodził szeregi więźniów, pytając kto się źle czuje i chce jechać do domu. Radość nieopisana. Wszyscy się zgłaszają, by uciec z piekła. Nastąpiła selekcja. Odstawiono zdrowych i wybrano pięciuset ludzi z werku C. Podstępem zwabiono około tysiąca ludzi (około 500 z werku A i B) i zamknięto we fabryce. Poprzedniego dnia wydano rozkaz zakratowania okien fabryki drutem kolczastym. Nazajutrz wyprowadzono więźniów i po stu rozstrzelano”.

(Archiwum W. Ż. K. H. w Krakowie Lb. 218).

Egzekucja odbywała się na strzelnicy. Była to obszerna polana wśród lasu, na której wypróbowywano

produkcję. W pośrodku polany był głęboki dół, w którym ofiary musiały kłaść się ciasno obok siebie twarzami do ziemi. Następowala seria kul z karabinów maszynowych, poczym trupy przysypywano cienką warstwą ziemi. Wnet przybywała nowa partia ofiar i tak się to powtarzało aż do zapelnienia dołu. Zdarzyło się, że w kilka godzin po egzekucji młoda dziewczyna postrzelona tylko, wygramoliła się z dołu i poszła w stronę lasu. Spotkał ją zbir spoza lagru i wydał w ręce władz. Za pół litra wódki.

Hasag miał umowę z SS, którym płacił około pięciu marek za każdego więźnia. Kalkulacja opłacała się. Siły robocze eksploatowano do ostateczności, bez ograniczenia czasu pracy i bez stosowania środków ochronnych. Gdy Żydzi jako siła robocza wyczerpywali się, leżało w interesie Hasagu, ażeby tych ludzi jak najprędzej zlikwidować i zastąpić nowymi, zdrowymi robotnikami. Wskutek morderczej pracy i nieludzkich warunków wykańczano ludzi po dwóch miesiącach.

W tym okresie nie było jeszcze lekarzy, lekarstw ani szpitala. Tak zwany Krankenhaus nie był szpitalem. Wrzucano tam chorych, którzy czekali na śmierć. Stąd nazwa baraku „przedsiónek śmierci”. Potem utworzono szpital, przydzielono lekarza, ale bez środków leczniczych.

O tym, jak wyglądała selekcja w szpitalu opowiada dr Wasserstein.

„W pierwszych dniach mojej praktyki lekarskiej zdarzył się następujący wypadek. Przed ambulatorium tłoczyli się chorzy, oczekując swojej kolejki. Niespodzianie ukazało się auto, z którego wysiadł Niemiec w cywilu, Seidler. Momentalnie chorzy rozbiegli się. Pozostali tylko dwaj, którzy nie zdołali ukryć się. Tych załadowano na auto. Jeden chory w trakcie badania schował się pod kanapę. Seidler wpadł do szpitala i kazał w ciągu pięciu minut

wybrać najciężej chorych, którzy mieli być rzekomo przeniesieni do szpitala na inny werk. Zacząłem badać chorych. Po chwili Seidler odtrącił mnie i tu się zaczęło: w lewo, w prawo. Po tym krzyk, płacz. Wybranych wsadzono na auto. Wtedy miał miejsce następujący incydent. Komendantka lagru Markiewiczowa, interweniowała w sprawie młodego inżyniera, że jest to dobry fachowiec potrzebny w fabryce i Markiewiczowej udało się wydobyć go z transportu. Ale on zrezygnował dobrowolnie z łaski i odpowiedział z auta Niemcowi, że ma dość męki i upodlenia i nie chce więcej pracować dla wrogów w fabryce amunicji przeciw swym braciom. Seidler wpadł w wściekłość.

...Pierwszy raz byłem świadkiem takiej selekcji. Powtarzało się to co tydzień, co dziesięć dni". (*Archiw. W. Ż. K. H. w Krakowie, Lb. 387*).

16 listopada 1943 roku obstawiono obóz Ukraińcami, kierowanymi przez SS i kierownictwo fabryki. Wyciągano z baraków ludzi z nocnej zmiany, a ze szpitala chorych. Dla przynęty zapowiedziano, że wszyscy słabi otrzymają podwójną zupę. Podstęp się udał. Zgłaszających się po zupę zabrano na samochody. Jednak pierwszy raz u tych zrezygnowanych, pozbawionych wszystkiego: domów, rodzin, ojczyzny, mienia, wyzuty z godności ludzkiej — odezwał się desperacki odruch buntu. Chorzy wyskakiwali z samochodów. Opierających się rozstrzelano. Rzeź trwała kilka godzin i dopiero wieczorem wyjaśniła się przyczyna czystki. Przyjechał świeży transport z Płaszowa, rozstrzelano więc wszystkich słabych, przygotowując miejsce dla nowych ofiar.

Byłam świadkiem przedostatniej selekcji. Wyciągnięto chorych ze szpitala i załadowano na auto, ażeby ich wywieźć na strzelnicę, gdzie miała się odbyć egzekucja. Zanim auto ruszyło, rzucono skazańcom kilka kawałków chleba.

Na aucie odbywały się dantejskie sceny. Sama aż nazbyt często głodna, uświadomiłam sobie wtedy jak

straszne jest uczucie głodu, jeżeli chorzy zapomnieli w tej chwili o tym, że idą na śmierć i rzucili się na chleb.

II

WERK C.

Był to najsłynniejszy ze wszystkich werków, głęboko ukryty w lesie.

Groza ogarniała przybysza po przestąpieniu bramy obozu. Pierwsze wrażenie: żółci ludzie ubrani w papiery powiązane sznurkami i drutami. Wszystko jest żółte. Żółte baraki, drzewa i liście w lesie pod wpływem trujących substancji wydzielających się z hal. Zatruty las. Ludzie, upiorne żółte widma snują się wśród drzew. Kobiety rudo czerwone (działanie pikryny na włosy) o czerwonych paznokciach, nawet oczy na żółtej twarzy robiły wrażenie żółtych.

Najcięższa była praca na werku C przy granatach *) i pikrynie.

Hala 6-ta, 53-cia, 58-ma, w których pracowało się przy granatach i pikrynie, miały swoją tradycję i sławę na wszystkich trzech werkach.

Hala 6-ta „zalew” (to skrót dla oznaczenia czynności polegającej na wlewaniu do granatu rozpalonej płynnej masy trotylu) i hala 53-cia, gdzie prócz pras pikrynowych był również „zalew”. Na hali znajdowały się dwa olbrzymie kotły, do których wsypywało się trotyl. W powietrzu unoszą się tumany pyłu trotylowego, który wyciska łyż z oczu, pozbawia tchu, powoduje kaszel. W parze, w bardzo wysokiej temperaturze gotuje się w rozpalonych kotłach saletra i trotyl. Kotlarz, mieszając zawartość kotła, wdycha unoszącą się parę trotylu, który jest również za-

*) Pociski wyrabiane w Skarżysku nazywano granatami.

bójczy dla organizmu jak pikryna. Pracuje się bez ubrań ochronnych, masek, okularów, rękawic. Kotły nie były kryte, bił więc z nich na halę zapach gotującego się trotylu. Szczególnie niebezpieczna była praca kotlarza, nie tylko dlatego, że systematycznie zatruwał się wydobywającymi się z kotła gazami, lecz najłżejsze niedociągnięcie n. p. uderzenie wiosłem o ścianę kotła mogło spowodować wybuch.

Przed wojną kotlarz musiał być pierwszorzędnym fachowcem z długoletnią praktyką. W obozie pełnili te funkcje więźniowie przemęczeni, wygłodzeni, którzy z pracą tą nie mieli dotąd nic wspólnego. Teraz kotlarz musiał pełnić funkcje elektrotechnika i monter. Przy tej zabójczej pracy umarło z 26-ciu kotlarzy 17-tu w ciągu kilku miesięcy. Było kilka wypadków śmierci na hali. Zdarzało się, że kotlarz pochylił się nad kotłem, ostatkiem sił mieszał trotyl, naraz ukazywała mu się piana na ustach, oczy stawały w słup i padał przy kotle. Nieliczni, którzy przeżyli obóz i pracę przy trotylu, mieli gruźlicę. Lecz takich którzy przetrwali było bardzo nie wielu.

Więzień Izrael Anker opowiada o przeżyciach swych na hali 53-ciej, gdzie spędził jakiś czas:

„Pracowałem przy transporcie z hali 53-ciej na 58-mą. Ponieważ nie było dnia, żeby jakiś kotlarz nie zasnął, łapano robotników z transportu do pracy przy kotle i do zalewu. Chociaż osławiony był transport w Skarżysku, wolałem już tę pracę niż na dusznej hali w oparach trotylu. Było to w lecie, podczas nocnych zmian. Wskutek ciągłych alarmów okna były szczelnie zamknięte. Na hali nie było wentylatorów i dusiliśmy się z gorąca. Nie mogłem ani na moment wyjść z hali, żeby wciągnąć powietrze w zakażone płuca, bo majstrowie poganiiali do pośpiechu. Dostawałem mdłości i zawrotu głowy od gazów unoszących się z kotła, nie mogłem przełknąć łyżki zupy, miałem ciągle gorycz w ustach.

Zdejmowałem ze znacznej wysokości skrzynię. Wyślizgnęła mi

się z rąk i wysypało się trochę trotylu. Bili mnie sękatymi łagami po głowie, dopóki nie straciłem przytomności.

Opadałem z dnia na dzień ze sił, byłem cały opuchnięty; wiedziałem, że przy tej pracy nie będę długo żył.

Chciałem popełnić samobójstwo. Uratował mnie przyjaciel, który sprzedał buty i za tę cenę okupiłem się u majstra i wróciłem na dawną placówkę.

Równie ciężka była praca giserów. Nabierali z kotła do wiader gorący trotyl, którym zalewali granaty. Norma wynosiła 5.800 granatów na trzech więźniów tj. przeciętnie około 2.000 na jednego. Całą noc trwała gorączkowa gonitwa od kotła do stołu z ciężkimi wiadrami. Warunki pracy utrudniały wykonanie normy.

Ten sam więzień opowiada:

„W ciągu jednej nocy musiałem przenieść około 2.500 wiader trotylu, bo każdy granat zalewało się dwa razy. Na dnie i ścianach wiadra osadzał się stężały trotyl, tak że nie wiele płynnej masy mieściło się w wiadrze i choć trotyl przelewał się z naczynia, starczyło go, zaledwie na zalanie jednego, najwyżej półtora granatu. Wiadra po największej części były dziurawe i trotyl ściekał po nogach. Nie można było wytchnąć ani na chwilę, ani nawet podczas przerwy obiadowej. Stojąco połykałem gorzką zupę, bo norma nigdy nie była wykonana i giserzy musieli pracować po fajerancie”. (Archiw. W. Z. K. H. w Krakowie, Lb. 651).

Pracowano 12 godzin w dzień, 14 podczas nocnej zmiany. Bywały częste wypadki przy pracy, zwłaszcza podczas nocnych zmian, jak poparzenia gorącym trotylem lub gdy granat wagi 58 kg padał na nogi, co mogło spowodować kalectwo.

Kobiety mieszały trotyl w granatach. Pracę wykonywano stojąc. Nie wolno było usiąść, bo dobrze nas pilnowali. 12—14 godzin pracy czyniło z kobiet automaty. Wychudłe widma pracowały bez wytchnienia i wypoczynku. Nogi puchną z przemęczenia, bolą nieznośnie. Prawa ręka wykonuje stale jeden ruch, zatacza pałeczką drucianą krąg w lejku, by trotyl mógł równomiernie spłynąć do granatu. Dwie sekundy na jedno zatoczenie

kręgu, 30 ruchów na minutę, 1800 na godzinę ponad 20.000 na jedną szychtę, uwzględniając nawet już zwolnienie tempa w ostatnich godzinach pracy.

Więźniarka Fryda Immerglück opowiada:

„Pracowałam przy mieszaniu trotylu w granatach. Jak automat wykonywałam stale jeden i ten sam ruch, nogi miałam opuchnięte, sztywniały mi ręce. Do dziś boli mnie staw barkowy. Ostatkiem sił wlokłam się do obozu. Nogi miałam tak obolałe, że nie mogłam wspiąć się na barłóg, musiałam rękami podtrzymywać nogi i układać je na pryczy”. (*Archiw. W. Ż. K. H. w Krakowie, Lb. 718*).

Gdy wymierali mężczyźni, zastępowały ich kobiety przy najcięższej pracy. Szczególnie niebezpieczna była tłuczka t. j. rozbijanie trotylu, bo unoszący się pył trotylowy wżerał się w płuca, działał zabójczo na serce i wszystkie organy wewnętrzne. Kobieta, zatrudniona przy takiej pracy przeciętnie nie żyła dłużej ponad dwa miesiące.

Grozę potęgowało nieludzkie traktowanie. Majstrowie rzucali granatami w więźniów. Niemiec Hecht, starzec 80 letni bił na niemiecki sposób pięścią w głowę, walił gumą po twarzy i po plecach. Jak zły duch wyrastał nagle jak spod ziemi. Raz, przechodząc koło hali, zobaczył kobietę ze schyloną głową. Był pewny, że drzemie i rzucił w nią ciężkim przedmiotem żelaznym, tak że rozbił szybę i ugodził dziewczynę w głowę. Dziewczyna nie spała, lecz czyszcząc granat przykucnęła i schyliła się. Z rany na głowie lała się krew. Ranną obandażowano brudnymi szmatami i musiała dalej pracować, bo lekarz — bojąc się Hechta — nie chciał jej dać zwolnienia. Nazajutrz musiała pójść z rozbitą głową do pracy. Dopiero kiedy na trzeci dzień z wysoką gorączką poszła do pracy i zemdląca na hali, kazał jej Hecht dać zwolnienie.

Innemu więźniowi Dawidowi Warszawskiemu spadł granat na nogę. Nie przyszedł nazajutrz do pracy i Hecht

posłał po niego do lagru twierdząc, że symuluje. Przyniesiono go do fabryki na wózku. Oglądawszy nogę, Niemiec zaśmiał się zjadliwie. Po dwóch tygodniach wrócił Warszawski do pracy. Z opuchniętą nogą nie mógł nadażyć w wykonaniu normy i Hecht zastał go w chwili, gdy wypoczywał. Zbir, który nie znał litości ani wyrozumienia dla słabych, podejrzewał każdego o sabotaż. Hecht dobrze pamiętał, że Warszawski nie pracuje tak jak wtedy, gdy był zdrow i miał go na oku. Podczas selekcji specjalnie go szukał i oddał go w ręce wachführera, który zdziwił się, gdy mu przyprowadzono więźnia w sile wieku. Od wyroku Hechta nie było apelacji i zdrowy, rosły człowiek znikł za bramką razem z resztą schorzałych i wycieńczonych więźniów, którzy szli na śmierć.

Sławna była w Skarżysku hala 58. Na sam dźwięk słowa „hala 58” więźniowie drżeli. Była ona postrachem dla wszystkich trzech werków i, podobnie jak hala pikrynowa, ociekała krwią. Tu wolno było każdemu dowolnie znęcać się nad Żydami.

Przy pracy w pyłe trotylowym, przy czyszczeniu granatów obowiązywała olbrzymia norma, wciąż zwiększana, od 2200 do 5500 granatów. Przez ręce każdego więźnia przechodziło w ciągu jednej zmiany 5500 granatów. Przy każdym stole było kilku nastawników z nahajami, którzy pilnowali, by praca odbywała się szybko. Przy czyszczeniu granatów można siedzieć, ale dla większej udręki nie pozwalano Żydom korzystać z krzeseł, które w dostatecznej liczbie znajdowały się na hali. Nogi ciążyły jak ołów, a opuchłe ręce nie mogły nadażyć w morderczym tempie pracy. Nie ma mowy o próbie odpoczynku, bo praca jest tyłoryzowana, produkt przechodzi z rąk do rąk, a norma popędza. Maszyna nie śmie stanąć. Na hali rozlega się świst knuta. Z pokaleczonych twarzy cieknie krew. W każdej chwili grozi kalectwo i śmierć.

Więzniarka, Salomea Fass opowiada:

„W pierwszych dniach mojej pracy na hali 58 dostawałam spazmów. Majster i jego pomocnicy bili pięścią, grubymi kijami, rzucali na ofiarę krzesła, granaty, tłukli w oczy. Raz dostałam takie cięgi, że mnie oślepiło, a musiałam dalej pracować. Bałyśmy się chodzić za potrzebą. Czekaliśmy do obiadowej przerwy, a prawie każda miała chory pęcherz i biegunkę. Młodego chłopca, który poszedł wśród pracy za potrzebą, majster pobił śmiertelnie krzesłem. Na miejscu został trup pobitego”. (*Archiw. W. Ż. K. H. w Krakowie, Lb. 547*).

Niepotrzebne były selekcje i krematoria. Śmierć zbiera obfite pokłosie na hali. Gdy po licznych komisjach zabroniono bić więźniów, majstrowie wywlekali ich do lasu i tam mordowali. Codzień ubywało kilku Żydów na hali.

Oprawcy byli niewyczerpani w obmyślaniu kawałów. Urządzono raz rewizję na hali i znaleziono tałes i tefilim¹⁾. Zapytano, do kogo to należy. Ponieważ nikt nie chciał się przyznać do posiadania tych rzeczy, zagrozili Niemcy, że rozstrzelają wszystkich z hali. Wtedy zgłosił się „winny” Żyd z Łodzi. Zrobiono podwyższenie ze skrzyń i zmuszono go do błazeńskiego występu. Ubrany w tałes i tefilim musiał dopóty się modlić, kiwać, śpiewać, dopóki zbirom nie znudziło się wesołe widowisko. Następnie ustawili się w szpaler i śmiejąc się i dowcipkując, przepędzili nieszczęśliwca przez szpaler, bijąc go, każdy z osobna; widok brozącego krwią podsycił ich krwiożerczość. Nawpół żywego zanieśli koledzy na rękach do lagru.

Ponieważ wskutek wzrastającej wciąż normy robotnicy nie mogli zachowywać wymaganej ostrożności, zdarzały się często wybuchy. Zaraz po przybyciu transportu

¹⁾ *Tales* — żyd. szata liturg. *Tefilim* — sześciany z tekstami modlitw, wdziewane przez mężczyzn przy rannej modlitwie na lewe ramie i na czoło.

krakowskiego miał miejsce wybuch, który pochłonął kilkadziesiąt ofiar. Rannych Polaków kazali Niemcy odwieść natychmiast do szpitala do Skarżyska. Żydów pozostawiono na miejscu, dopóki nie odjechały komisje, które przybyły z Radomia i Kielc celem zbadania przyczyny wybuchu i rozmiaru strat. Wśród kłębowiska zmasakrowanych ciał, w potokach krwi leżeli ranni, rozlegały się ich jęki i wołania. Czekali na pomoc, której im nie udzielono. Niektórzy byli lekko ranni, mieli pokaleczone ręce, nogi. Kiedy przyszła nocna zmiana, uprzątnięto ślady wypadku, wynoszono wiadrami krew z hal, a miazgę ludzką wraz z rannymi rzucono na wozy i wywieziono na strzelnicę. Ośmiu rannych dobito. Udało się ukryć przed oczyma zbirów młodą dziewczynę, której odłamek granatu utkwiał w płucach. Jednakże nie można jej było uratować, bo lekarze byli bezradni, nie mając narzędzi chirurgicznych. Po dwóch tygodniach męki dziewczyna umarła.

Na hali zamalowano ściany zbryzgane krwią, lecz ślady rozprysniętych mózgow przylgnęły do drewnianych filarów i pozostały. Były tam jeszcze, gdyśmy wyjeżdżały ze Skarżyska.

Najbardziej poniżone w obozie były starsze kobiety. Poszły one do Skarżyska z transportem z Płaszowa. Ocalałe cudem w selekcjach płaszowskich, wyłowił Goeth i wysłał do Skarżyska. Podczas pierwszego apelu, gdy odbywało się przydzielanie do poszczególnych hal, nikt nie chciał starszych robotnic. Naucone smutnym doświadczeniem płaszowskim, błagały o pracę, wiedząc, że to je chroni na razie przed śmiercią. Dostały się do stosunkowo lekkiej pracy, do fabryki Schmitza. Gdy jednak po jakimś czasie była czystka u Schmitza, usunięto je. Stanowiły one t. zw. szmelc ludzki, którego każda hala chciała się pozbyć. Poszły do

najgorszej wykończalni, między innymi na halę 58-mą. One były najbardziej prześladowane w myśl zasady, że słabsi muszą zginąć. Nie pozwalały sobie na żadne uchybienie w pracy, bojąc się wyrzucenia z hali. Pomimo, że pracowały z nadludzkim wysiłkiem, narażone były na najgorsze traktowanie i plugawe wyzwiska. Prawie wszystkie wymarły w Skarżysku, bądź to od tyfusu, bądź od nadmiernej pracy.

Największa groza i nędza panowała na hali 13-tej osławionej na wszystkich trzech werkach. Fabrykowano tam miny podwodne napełniane pikryną, proszkiem bardzo szkodliwym dla organizmu, od którego wszystko żółknie i gorzknieje. Od pikryny i trotylu powietrze w Hagsagu było zatrute. Robotnicy stanowili tu, jak gdyby wyspę w obrębie obozu. Odziani w papierowe peleryny, powiązane sznurkami i drutami. Spodnie — łachman łatany papierami. Jedna noga w połamanym holendrze, druga owinięta w papier. Na twarzach tępa rezygnacja.

Do tej pracy wybierano młodych i zdrowych mężczyzn i młode dziewczęta, blondynki, o pięknych nieraz rękach. Przy tej pracy żółkły jak kanarki, a ręce ich pokrywały się wrzodami.

Na hali unosił się żółty pył, zabójczy dla organizmu, tak ostry, że przeżerał ubranie. Żółkło całe ciało, czerwieniały paznokcie u rąk i nóg.

Po pierwszym dniu pobytu na hali robotnicy byli nie do poznania. Pikryna wyciskała na nich od razu piętno. Włosy stawały się zielonkawo żółte, twarz pokrywała się żółtymi plamami, dłonie były spalone, czerwone, porażone. Skóra schła i marszczyła się. Przyrządy smarowane były oliwą, która w połączeniu z pikryną spalała skórę, tak że powstawały rany na rękach.

Zatrucie pikryną wywoływało wymioty i skurcze w kolanach. Pewien warszawianin, mężczyzna tak silny, że przynosił sam kotły z kuchni i używany był do wyno-

szenia trupów, zapadł na nogi i tak chudł, że wkrótce stał się „muzułmanem”. Po kilku tygodniach umarł.

Bardzo ciężka była praca przy prasie. Najłżejsze niedociągnięcie groziło wybuchem. Jeden chłopiec palił się raz jak świeca, a ledwie uratowany, bardzo poparzony, był szczęśliwy, gdy przeszedł do innej pracy.

Majster sam nie wchodził na halę. Stawał w drzwiach, zatykał usta, a zarządzenia wydawał nie w hali, ale od progu. Od pikryniarzy odsuwano się jak od trędowatych. W ich pobliżu wszystko gorzkniało. Nie mogli grzać się przy piecu, bo pod wpływem ciepła gorycz unosiła się w powietrzu i jedzenie stawało się gorzkie. Urządzano sobie z nich widowisko i wołano za nimi: „Idą kanarki”.

Przed wojną norma dzienna wynosiła 3 skrzynie t. j. 450 sztuk. W obozie zaś pracowano 11 godzin, a norma wynosiła z początku 7 skrzyń. Przyrzekano „fajerant” po skończeniu normy. Panował więc niesamowity pośpiech, jeden poganiał drugiego, by jak najprędzej skończyć i pójść do baraku, bo umycie się z pikryny i oczyszczenie zajmowało dużo czasu. Niemcy, wykorzystując do ostateczności pracujących, ustanawiali normę 8, 9 i 11 skrzyń t. j. 1650 kostek pikrynowych. Więźniowie byli tak katowani przez majstrów, że dosłownie każdy skrawek hali przesiąknięty był krwią. Bili młotkiem po głowie. Na hali 13-tej i 15-tej po trzech miesiącach pracy robotnicy umierali, a ci którzy przetrzymali, mieli gruźlicę. Wiecznie chorzy, zawsze głodni, zbierali ochłapy na śmietniku obozowym.

Praca tak mordercza i wysysająca zdrowie wymaga specjalnego odżywienia, a pikryniarze najbardziej cierpieli od głodu, tym więcej, że nikt im nie szedł z pomocą. Marzeniem każdego pikryniarza było zdobycie jeszcze jednej łyżki zupy, o co toczyły się bójki. Oczywiście udział w wylizaniu beczki i zlizywaniu resztek wychlapanej zupy z ziemi przypadła najsilniejszemu. Niemcy z sa-

dystycznym zadowoleniem przyglądali się walkom głodomorów, a raz kierownik werku, Niemiec, widząc chłopca, lizającego beczkę, wepchnął go do środka głową na dół i chłopiec pozostawał w tej pozycji dopóty, dopóki Niemcowi nie znudziła się zabawa.

Wskutek nieprawdopodobnie wyśrubowanej normy, robotnicy nie mogli zachować środków ostrożności i często bywały wybuchy. Życie ludzkie wisiało na włosku. Szczególnie niebezpieczne były nocne szychty, podczas których najwyższym wysiłkiem przewyciężano senność. Godziny nocnej zmiany ciągnęły się w nieskończoność. Powietrze przesycone trotylem i pikryną działało jak czad. Myśli plątały się. Dławił pył trotylowy, zasychało w gardle, mdlił głód, bolał kurczący się z głodu żołądek. Całą noc ludzie pracowali głodni. Nic dziwnego, że w takich warunkach więźniowie zasypiali. Do przytomności doprowadzał ich krzyk towarzyszy, którzy poganiali do wykonania normy i majster, który przez okno podstępnie śledził więźniów, wpadał brutalnie i okładał kijem za opieszłą pracę.

Pikryniarze mieli najdłuższe apele. Stali przed halą na śniegu, bosy, ubrani w papiery, czekając na szefa, który bez końca przeliczał więźniów, czy ktoś nie uciekł w las.

Z bicia, głodu i wyczerpania padali przy pracy. Nie potrzebowali szpitala i leczenia, kończyli na miejscu. Nawet najsilniejsi, przyzwyczajeni do fizycznej pracy, nie przetrwali. Zatruci pikryną, nie mogąc ruszyć rękami i nogami, nie byli zdolni do wykonania normy. Przenoszono ich więc na inne hale, gdzie pracowali przy transporcie. Zdarzało się, że wychodzili z baraku i już nie doszli do miejsca pracy. Siadali na chwilę, żeby wypocząć i więcej nie wstawali. Bywało też, że po powrocie z pracy rzucali się na żółty barłóg i zasypiali kamiennym snem, aby się więcej z niego nie obudzić. Pozostali zazdrościli im lekkiej śmierci.

Na pikrynie nie wolno było chorować. Gdy ktoś zasłabł lub padł przy pracy, nikt się nad nim nie pochylił, bo nie wolno było przerywać normy. Podczas gdy przy lżejszej pracy panowały znośniejsze stosunki i pewna solidarność, przy pikrynie wytworzyło się bezwzględne wzajemne traktowanie. Nikogo nie wzruszały lzy towarzysza, nikt nikomu nie pomógł, nie zastąpił przy pracy. Sami cierpiący ponad miarę, tracili zdolność wczuwania się w cudzy ból; zobojętnieli, mając przed oczyma własną śmierć, gruźlicę i powolne konanie. Otepiali, doprowadzeni do stanu ostatecznej apatii, nie rozbierali się, nie myli, nie byli już podobni do ludzi.

W skrajnym pesymizmie, w głębokiej depresji psychicznej, nie snuli więcej marzeń o lepszej przyszłości i z determinacją czekali na śmierć; nie wierzyli, by ich los mógł ulec zmianie na lepsze; wiedzieli, że gdyby nawet cudem przeżyli wojnę, wyjdą z obozu z gruźlicą.

Przed likwidacją lagru powiększył się fasunek dla pikryniarzy, którzy otrzymywali 1/3 litra mleka odciąganego i 25 dkg kaszanki tygodniowo jako dodatek do morderczej pracy. Kaszanka, na którą więźniowie czekali cały tydzień, przeznaczona była jedynie dla najciężej pracujących. Przechowywana w magazynie w beczce, kwaśniała często, i w takim stanie wydzieliał ją z niezwykłą powagą sam szef Hecht. Zanim dostała się do rąk więźnia, przeżywał on całą skalę niepewności, czy szef w ostatniej chwili nie przypomni sobie o jego „wykroczeniach”. Zazwyczaj odmawiał starszym, wycieńczonym, źle ubranym z sadystycznym zadowoleniem, że może upokorzyć publicznie głodnego więźnia. Gdy ktoś akurat w ten dzień zasłabł i nie wykonał normy, nie otrzymywał kaszanki. Jak na ironię, wymalowano na odnowionych barakach napis: „Bessere Arbeit, gute Kost”¹⁾.

¹⁾ „Lepsza praca, dobry wikt”.

Obiecywano pracującym ochronne ubrania, skończyło się jednak na maskach niedostosowanych i nieuszczelnionych. Pył wgrzyzał się pod maskę, tworząc pręgi na twarzy, zapychał nos, usta. Więźniowie dusili się i w rezultacie nikt nie pracował w masce. Stała się ona nowym utrapieniem dla więźniów. Po ukończonej normie musieli bardzo skrupulatnie czyścić maski, a gdy raz po nocnej zmianie zmordowani więźniowie nie oczyścili ich dość starannie, nawrócono ich do fabryki, zbito i przetrzymano kilka godzin.

Podczas likwidacji lagru wykonano wszystkich pikryniarzy, bo Niemcy nie chcieli pokazać światu żółtych ludzi. Cudem uratowało się zaledwie kilku.

Na rozległej przestrzeni między halami fabrycznymi czynny był transport. Więźniowie przewozili materiały dla przemysłu wojennego i gotowe produkty z hal do magazynów i do wagonów. Oprócz transportu, który pracował na dwie zmiany, dzienną i nocną, był nocny transport kolejowy. Z trwogą mówili więźniowie o transporcie kolejowym. Pracowano w nocy przy wyładowywaniu bez normy, a i w dzień, gdy przychodziły wagony, budzono więźniów po całonocnej pracy. Nie mieli wolnej niedzieli. Wtedy bowiem wyłapywano ich z latryny, z baraków kobiecych; gdzie kryli się pod pryzkami. Były dni, gdy spali najwyżej dwie godziny na dobę. W deszcz czy w mróz pracowali boso lub w zdartych drewniakach, odmrażali sobie nogi, uszy, nosy. Ręce krwawiły z zimna, przymarzały do metalu. Poganiani byli do pośpiechu przez majstrów, którzy nie szczydzili im razów i rzucali granatami w więźniów. Nie było dnia bez ofiar. Transport kolejowy nazywano transportem śmierci. Śmiertelność była tu większa niż na halach, nawet niż na pikrynie.

Jeden z nielicznych ocalałych z tej katorgi, Salomon Singer opowiada:

„Pracowałem przy nocnym transporcie kolejowym. Dwaj więźniowie musieli wyładować dwa pełne wagony granatów. Pracowaliśmy stale w nocy. Nie mieliśmy nigdy wypoczynku. Często budzono nas w dzień do pracy. Bili nas okutymi lagami. Bili pięścią w szczękę. Bili w najbardziej wrażliwe miejsca, w brzuch, w nerki. Były częste wypadki śmierci od pobicia. Wracaliśmy skonani do lagru i codziennie zabieraliśmy zmasakrowane ciała naszych towarzyszy. Ponieważ brakło noszy, jeden brał ofiarę za głowę, drugi za nogi. Po dwóch miesiącach ze stu dwudziestu zostało nas dwudziestu. Nie dodano nam nowych więźniów do pomocy i we dwudziestu musieliśmy wykonywać normę”.

Ten sam więzień opowiada:

„Z transportu kolejowego przeniesiono mnie do transportu, z hali 58-mej do magazynu trzeciego, Wozilem saletrę. Worki z saletrą wagi 65 kg wynosiłem na plecach z magazynu na wózek. Worki twarde jak kamień uciskały plecy, saletra paliła ciało, wyżerała dziury w ubraniach. Plecy miałem poranione. Wózek z czterdziestu workami saletry ciągnęło czterech więźniów. Droga szła pod górę. Odległość wynosiła przeszło 1 km. Ostatkiem sił ciągnęliśmy wózek pod górę. Na hali 58-mej wyładowywaliśmy saletrę, którą trzeba było równiutko układać, bo w przeciwnym razie majster bił bez litości.

Nikt z nas nie miał koszuli. Zastępowały je papierowe worki po saletrze. Nie miałem butów i w 15^o mróz szedłem do pracy boso. W naszym baraku nigdy się nie paliło”. (*Archiw. W. Ż. K. H. w Krakowie, Lb. 646*).

Inny więzień, Salomon Wasserlauf, zeznaje:

„Pewnego razu mieliśmy załadować wagon pocisków. Jedna sztuka ważyła przeszło 50 kg. Nie pozwolono nam przewieźć ich wózkami, lecz musieliśmy je prznosić w rękach z magazynu do wagonów z odległości około jednego km. Na jednego więźnia przypadało 40 granatów, t. j. około 2.320 kg”.

Woziliśmy pociski na 51-szą halę. Jeden kolega, Krumholz z Kalwarii zasnął przy wózku. Majster tłukł go granatem po plecach tak, że nieszczęśliwy zmarł nazajutrz w baraku” (*Archiwum Woj. Żyd. Kom. Histor. w Krakowie Lb. 735*).

Mordche Fass opowiada:

Zwoziliśmy wyprodukowany materiał z hali 58-mej do magazynu 3-go t. zw. magazynu śmierci. Norma wynosiła 12 wózków po 200 granatów wagi 18 kg tj. około 42.000 dla 3-ch więźniów, a więc 14.000 na jednego w ciągu jednej szychty. Majstrowie poganiałi nas kijami, żelaznymi łagami do pośpiechu i okładali nas batami jak zwierzęta juczne. Miałem plecy czarne od bicia. Droga z hali 58-mej do magazynu, gdzie musieliśmy zdejmować z wózków granaty i układać je równo w magazynie znaczone była krwią ludzką. Praca odbywała się biegiem. Za najmniejsze przeoczenie kazał robić przez dwie godziny przysiady z granatami w wyprężonych rękach, a gdy ktoś zemdłał, kopnięciem doprowadzał go do przytomności. Podczas 20 minut w ciągu których robotnicy hali 58-mej ładowali granaty na wózki musieliśmy nosić skrzynie wagi 60 kg po dwie naraz z jednego magazynu do drugiego. Nie było dnia żeby ktoś nie ~~umarł~~ umierał. Umierali sami młodzi, silni mężczyźni. Po 4-ch tygodniach z 90-ciu zostało 12 osób. Zginęli z głodu wycieńczenia i bicia.

W zimie gdy spadł śnieg usuwaliśmy go kilka razy w ciągu dnia, musieliśmy oczyszczać tory ze śniegu, posypywać saletrą i 3 osób ciągnęło wózek z granatami wagi 11.000 kg. Gdy razu pewnego chłopiec z Działoszyca zdrowy, rosły nie mógł pchnąć wózka na śniegu zbili go tak, że chłopiec padł trupem przy wózku.

Wskutek nieludzkiego pośpiechu wózki wykolejały się na zakrętach, najeżdżały na więźniów i powodowały nieraz ciężkie okaleczenia. Młodego chłopca Rózanego, który przejechany przez wózek został kaleką, skazali na śmierć przy najbliższej selekcji.

Najgorzej było podczas alarmu w czasie nocnych szycht. W nieprzeniknionych ciemnościach wózki wywracały się i bywało wiele ofiar. Musieliśmy po ciemku układać granaty i nasi prześladowcy bili nas i nawet w tych warunkach żądali wykonania normy.

Często łapali nas do pracy w niedzielę po powrocie z nocnej szychty. Ukrywaliśmy się wtedy, gdzie się tylko dało, ale zewsząd potrafili nas wytropić.

Dziesiątkował nas głód ubrani byliśmy w papiery. Nie miałem koszuli, bo sprzedałem ją za chleb. Podczas selekcji byłem na czarnej liście, podobnie jak wielu, którzy chodzili na opatrunki do ambulatorium i byli w ewidencji szpitala. — W drodze na rozstrzelanie zbiegłem. (Archiwum Woj. Żyd. Kom. Histor. w Krakowie Lb. 591).

Trzeba było przenosić dziesiątki tysięcy granatów z jednego magazynu do drugiego. Ustawiono nas w długi, podwójny łańcuch, jedna od drugiej w odległości rozłożonych ramion. Kontrolował von Hecht. Zbój z zegarkiem w ręku badał tempo pracy przy przenoszeniu pocisków (sztuka ważyła przeszło 50 kg). Ponieważ w ciągu 10 minut wypada pewna ustalona ilość, obliczał ile granatów można przenieść w dwunastu godzinach i wyznaczał normę, nie biorąc pod uwagę odpoczynku, coraz większego zmęczenia pracownic, ani okoliczności, iż w jego obecności praca odbywa się ze zdwojoną gorliwością, bo każda robotnica wiedziała, że za najmniejszy niewłaściwy ruch dostanie bykowcem w twarz. Praca była bardzo ciężka, przekraczała siły kobiet zdrowych, nie mówiąc o chorych, po tyfusie, i zawsze głodnych. Po kilku godzinach tempo słabło, kobiety mdlały. Zaczynano nas poganiać, nie pozwalano nawet iść za potrzebą. Kobiety płakały, błagały o chwilę wypoczynku, ale nadaremnie, gdyż nie było to zależne od pilnujących nas policjantów. Musieli oni wykonać rozkaz szefa. Gdy po szesnastu godzinach praca nie była gotowa, kończyliśmy ją nazajutrz w niedzielę, chociaż niedziela miała być wolna. (Co trzecia niedziela była wolna).

III

PIKRYNA

W najgorszych oddziałach przy pikrynie t. j. przy prasie zatrudnieni byli mężczyźni. Praca przekraczała granice wytrzymałości ludzkiej, a tym bardziej więźniów wycieńczonych głodem i warunkami bytowania w obozie. Niemcy wydobywali z nich w najkrótszym czasie maxi-

mum siły roboczej, a eksploatowanych do ostatka zastępowano nowymi kadrami niewolników. Mężczyźni w tych warunkach załamywali się bardzo szybko moralnie i fizycznie, doprowadzeni do takiego stanu wyczerpania, że uważali śmierć za wybawienie. Obraz tego daje zeznanie więźnia Izaka Jakobera.

Przybyłem do Skarżyska na werk C. Zgroza mnie ogarnęła na widok żółtych ludzi pracujących przy pikrynie. Nazajutrz po naszym przyjeździe przyszli kierownicy do baraku i zaczęli wybierać do pracy. Podczas przydzielania do poszczególnych fabryk starałem się za wszelką cenę nie wpaść między żółtych ludzi i wołałem najbardziej katorżną pracę niż przy pikrynie. Jednakże przydzielono mnie do żółtej prasy. W pierwszym zaraz dniu dostałem wymiotów od zatrucia pikryną.

Ponieważ miałem chorą rękę, która mnie do dziś boli (uderzył mnie żołnierz kółką przy zejściu z pociągu) nie mogłem nadążyć z normą i majster zbił mnie okrutnie kijem. Na pewien czas przydzielono mnie do tłuczki (rozbijanie trotylu).

Ponieważ na prasie wciąż brakło ludzi, bo dawni pikryniarze wymarli, Niemiec Walter wziął mnie z powrotem. Była to najcięższa praca zorganizowana w ten sposób, że przy każdym stole pracowało czterech robotników: praser, sypacz i dwaj pomocnicy. Praca przechodziła z rąk do rąk. Jeżeli ktoś na chwilę się zatrzymał chcąc odpluć gorycz wdychaną z unoszącego się trotylu, zatrzymywała się cała praca.

Tempo było mordercze. Norma wynosiła 11 skrzyń, 1650 kostek pikrynowych to znaczy, że trzeba było podnosić przyrząd wagi przeszło 20 kg 1650 razy w ciągu jedenastu godzin. Gdy z chorą ręką nie mogłem nadążyć, Vorarbeiter wyrzwał mnie kańczugiem tak, że przez długą chwilę byłem oślepiony i po omacku pracowałem dalej, bo pracy nie wolno było przerywać. Gdy norma nie była wykonana bił majster z naszej szychty i z następnej szychty. Niektórzy praserzy narażali nawet życie byle nadążyć z normą. Nie zamykali szybera, zamknięcie zaś szybera trwało sekundę co wynosiło na jedną zmianę 1½ godziny. Panował nieludzki pośpiech. Narażano się na śmierć byle uniknąć bicia. Majster bił młotkiem po głowie. Często zdarzało się, że mimo wysiłku praserów nie można było wykonać normy, bo w tym dniu prasą nie dopisywała. Majster

wpadał od czasu do czasu na moment, by zbadać jak idzie praca. Gdy uważał, że nie dość szybko, bił. Do tego stopnia bałem się bicia, że już nie kontrolowałem maszyny, trzeba bowiem było schylać się za każdym razem, każde zaś schylenie trwało moment, co jednak wynosiło na jedną zmianę ½ godziny. I raz z tego powodu zdarzył się wybuch. Na szczęście było to w noc sylwestrową kiedy nie było majstrów. Za wybuch odpowiedzialny był główny praser. Dawniej nie badano przyczyny wybuchu i praser szedł za niedopatrzenie na rozstrzelanie. Za moich czasów majster najpierw bił „winnego” a później dopiero badał przyczyny wybuchu. Zazwyczaj powodem wybuchu bywały zużyte narzędzia i zepsuta prasa. Raz jeden w czasie mego pobytu w Hasagu zdarzyło się, że praser Hops zawinił i poszedł na strzelnicę na śmierć. Gdy prasa się popsowała pracowaliśmy w ten dzień przy transporcie. Majster dawał nam najcięższą pracę, przenoszenie skrzyń o wadze 80 kg. Wpadał na moment na halę i bił każdego kto mu wpadł pod rękę młotkiem po głowie. Gdy nastąpiło opóźnienie z powodu zepsucia prasy, dodawano trzeci przyrząd, żeby odrobić zaległości. Wtedy tempo tak było mordercze, że sypacz nie mógł nadążyć w pośpiechu często zamieniał korki przyrządów co powodowało wybuch. Sypaczowi było wolno siedzieć przy pracy. Ponieważ nie było dostatecznej ilości krzeseł, przy wejściu na halę rozpoczynał się karkołomny bieg, by zdobyć krzesło.

Za dowożenie obiadu na halę, dostawali więźniowie kilka chochel zupy, którą zamieniali na chleb. Ponieważ przychodziliśmy stale bez chleba do pracy, kupowaliśmy zupę na kredyt za tę pajdkę chleba, którą mieliśmy otrzymać dopiero nazajutrz. Była to zła zamiana ponieważ chleb miał większą wartość niż zupa, ale przy pracy, gdy dziki ból przeszywał wnętrzności, głód brał górę nad rozsądkiem. Wielkie było święto, gdy dawano przypaloną zupę, gęściejszą niż zwykle i można ją było wyskrobać z kotła. Taką zupę chciał kupić każdy, ale sprzedawano ją tylko protegowanym. Aż do obiadu do 11-tej nikt nic nie jadł. Przerwa obiadowa, trwała oficjalnie ½ godziny ale po kwadransie, majster krzyczał „jechać”, co było hasłem powrotu do pracy. Zupę dzielono na hali. Gdy tylko wniesiono ją na halę momentalnie gorzkniała a beczka zółkła. Dawali złą miarę, niepełną chochłę. Beczkę do wyskrobania dostawał praser, który miał największą normę. Starzy pikryniarze opowiadali, że dawniej Vorarbeiter rozdzielał zupę i zamiast do połamanej

puszki wlewał ją więźniowi do kieszeni lub bił chochlą po głowie. Nieraz przy becce bywały trupy.

Pikryniarze mieli osobne baraki 11 i 12. Gorycz unosila się tam jak na hali fabrycznej. Spaliśmy na deskach bez koców. Pikryniarzom nie dawano koców bo zółkły. Nikt nie posiadał koszuli. Sprzedałem moją za chleb. Byłem we wielu lagrach ale takiej nędzy nigdzie nie widziałem. Czterech więźniów kupowało razem jednego papierosa za 40 groszy. Ubrany byłem w papiery przymocowane drutami i sznurkami. Nie rozbierałem się przez 8 miesięcy ponieważ — po powrocie z pracy omdlewałem ze znużenia i cenna mi była każda minuta snu, zaś odrutowanie wymagało godziny czasu wieczór, a ponowne zadrutowanie godzinę rano. Cały majątek pikryniarza stanowiła brudna połamana puszka. Niektórzy posiadali łyżki, naogół chleptali gorzkie pomyje z menażki. Obcy nie wchodzili do naszego baraku, bo bali się goryczy. Z innych baraków wyrzucano nas. Ponieważ u nas się nigdy nie paliło, wślizgiwaliśmy się czasem do obcych baraków, żeby się zagrzać. Po chwili podnosiły się głosy: „gorzko”, pewnie jakiś pikryniarz. Odganiano nas od pieca, bo pod wpływem ciepła gorycz unosila się w powietrzu i wszystko gorzkniało. Zresztą nie można było stać blisko pieca, bo ubranie przesiąknięte pikryną, mogło się łatwo zająć. Przez cały czas mego pobytu w Skarżysku miałem zawsze gorycz w ustach. Zamienialiśmy często chleb na zupę lub na cuchnące kości przyniesione z werku A. Co drugą niedzielę po powrocie z nocnej zmiany pomimo nieludzkiego zmęczenia szliśmy na werk A do łaźni. Gdy byli dobrzy wartownicy mogliśmy chodzić po barakach, gdzie dostawaliśmy kości i lupiny. Gdy była zła warta nie pozwalali nam się nigdzie oddalać. Bywały częste wypadki, że wycieńczeni więźniowie ustawali w drodze do łaźni. Wtedy towarzysze zanosili ich na werk A, skąd już nie wracali. Pozostawali tam w szpitalu, gdzie ich wykańczano.

Barak pikryniarzy to jedyny barak w Skarżysku, gdzie nie było wszy, pluskiew i pcheł. W tej zatrutej atmosferze nie mogło istnieć żadne żywe stworzenie. Podczas budowy łaźni przyjeżdżali na furach Polacy z materiałem budowlanym. Pikryniarze kradli obrok koniom. Jeżeli pikryniarz nie umiał sobie radzić, mógł żyć najwyżej 3 miesiące. Organizowaliśmy węgiel na Betriebe i sprzedawaliśmy w barakach kobiecych. Sami nie paliliśmy nigdy, chyba w ciepłe dni, kiedy nie mogliśmy sprzedać węgla. Ja radziłem sobie w ten sposób, że sprzątałem w kobiecych barakach szpitalnych, za co dosta-

wałem czasem zupę. Była jednak duża konkurencja. Pikryniarze bili się o tę pracę. Najsilniejsi radzili sobie w ten sposób, że wynosili trupy, za co dostawali pajdkę chleba.

Zachorowałem, miałem 40 stopni gorączki i lekarz dał mi zwolnienie. Dowiedziałem się, że pikryniarze mają otrzymać dodatkowy chleb na hali, pomimo zwolnienia poszedłem z gorączką do pracy. Sprzedałem już wszystko. Koszulę, palto, buty, wreszcie platynowe zęby. Byłem cały opuchnięty i towarzysze mnie pocieszali, że już długo nie będę się męczył. Cudem, że zbliża się śmierć. Kolega blacharz chcąc mi pomóc dał mi do sprzedania na werk A, puszki, na których miałem zarobić po 50 groszy od sztuki. Wybrałem się w najbliższą niedzielę. Ponieważ wartownicy bardzo nas pilnowali nie mogłem chodzić po barakach i musiałem pójść do łaźni. Z obawy przed złodziejami ukryłem puszki na szczycie ściany, przez którą przechodziły gorące rury. Puszki przeleciały na długą stronę i żeby się do nich dostać musiałem przeleźć przez dziurę w ścianie i przy tym oparzyłem sobie nogę. Teraz z chorą nogą musiałem chodzić do pracy. Od pikryny noga coraz bardziej ropiała i już cały byłem jak gnijący szkielet. Wreszcie dostałem zwolnienie na sześć tygodni i pozostałem na terenie lagru. Pewnego dnia niespodzianie zjawiała się komisja. Apel. Ustawiają osobno chorych i osobno zdrowych. Byłem pewny, że idziemy na śmierć. Było nas 29 pikryniarzy. Więzień dr Handel, lekarz obozowy tłumaczył naczelnemu dyrektorowi, że ci wszyscy pikryniarze są chorzy na płuca, że pikryna jest dla nich zabójcza i że mogą pracować przy budowie. Interwencja lekarza poskutkowała i przydzielono nas do budowy. Na nasze miejsce zabrano stamtąd 29 do pikryny. Wreszcie odetchnęliśmy. Pozbyliśmy się pikryny i naszych katów. Nowy Vorarbeiter dobry człowiek, dawał nam najlżejszą pracę, chcąc nam wynagrodzić długie miesiące nieludzkiej męki.

Przed ewakuacją lagru odbyła się selekcja. Odstawiono grupami za bramkę prowadzącą na strzelnicę chorych pikryniarzy z tym, że pojedą do innego lagru, zaś zdrowi mieli pójść pieszo. Za chwilę usłyszano za bramką strzały. Powstało zamieszanie. Wachführer posłał Niemca na rowerze za bramkę rzekomo z poleceniem, by zaprzestać strzelania, chodziło mu zaś o uspokojenie nas, by móc przeprowadzić dalszą akcję. Rano przyjechały dwa wozy pokrwawionych rzeczy. Poznaliśmy ubrania naszych towarzyszy. Wykonczono wtedy wszystkich pikryniarzy. Ja uratowałem się cudem z kilku towarzyszami.

(Archiwum Woj. Żyd. Kom. Histor. w Krakowie Lb. 543).

TYFUS

Każdy przybywający do Skarżyska transport przechodził epidemię tyfusu. W transporcie krakowskim były kobiety z Płaszowa i „Julagu”, a mężczyźni wyłącznie z „Julagu”, gdzie bezpośrednio przed wysiedleniem panował tyfus. Toteż epidemia w Skarżysku objęła przede wszystkim kobiety płaszowskie.

Zaczął się od pojedynczych wypadków. Małeńki barak przeznaczony na szpital nie mógł pomieścić wszystkich i chorzy pozostawali w barakach. Chore leżały ubrane na gołych pryczach, wiele z nich bez koców, przykryte papierami, szczękały zębami ze zimna. W barakach panowało przejmujące zimno. Mokre gałęzie przynoszone z lasu nie chciały się palić. Przez szpary w ścianach, oknach, drzwiach wpadał lodowaty wiatr. Chore pozbawione były opieki lekarskiej. Aby formalności stało się zadanie, przychodził raz w tygodniu lekarz. Pisał zwolnienia i kiwał głową, bo brakło lekarstw. Zamożniejsze miały możliwość zdobywania leków za pośrednictwem pracujących na halach Polaków. Dostawały zastrzyki wzmacniające serce, które niejednokrotnie ratowały od śmierci. Chore leżały ze zdrowymi na tej samej pryczy. W 40° gorączce, nieprzytomne, oddawały kał i mocz pod siebie, tak, że często sąsiadka zawałana była kałem chorej. W mialignie rzucały się na pryczy, jęczały, krzyczały, wołały „mamo”, wiły się z bólu, bredziły w agonii. Straszliwą plagą były wszy, które spadały ze ścian i wylaziły ze szpar prycz. W nocy nie można było spać z powodu smrodu i krzyków. Jedne chore miały biegunkę, inne wymiotowały na swe koleżanki z niższych pięter, wszystkie leżały pozostawione własnemu losowi. Nieliczne zdrowe po

powrocie z morderczej pracy nie były w stanie usłużyć chorym, które leżały głodne, palone pragnieniem. Zupa obozowa z gnijących płatków kartoflanych przyprawiała o mdłości. Dopiero po sześciu tygodniach szalejącej zarazy izolowano chore, umieszczając je w dwóch osobnych barakach, nie przeprowadzono jednak gazowania pozostałych baraków, w których przebywali zdrowi. Dla chorych ustanowiono obsługę szpitalną. Kobiety z obsługi okradały z fasunku chore koleżanki, tak że tygodniami fasunek nie docierał do chorej. Na 1500 chorych umarło w krótkim czasie 900.

Po zmarłe przychodzili dwaj tragarze z noszami, ciągnęli na pasach trupa, przykrytego czarną szmatą i zabierali do skrzyni koło latryny.

Gdy tylko opadła wysoka temperatura, zmuszano chore do opuszczenia szpitala, by zwolnić miejsce dla nowych ofiar tyfusu. Osłabione, z opuchniętymi nogami wleżały się po lagrze z nędznym węzełkiem, szukając miejsca w baraku zdrowych, bo podczas pobytu w szpitalu traciły dotychczasowe miejsce i nie chciano ich nigdzie przyjąć.

Były wypadki, że w obawie przed rozstrzelaniem więźniarki szły do pracy natychmiast po chorobie, choć były niezdolne do wykonywania ruchów i padały przy pracy. Majstrowie byli bez miłosierdzia i bezwzględnie żądali wykonywania normy. Wyręczały je koleżanki, odrabiając za nie normę, co oznaczało podwójną pracę.

Częste bywały komplikacje potyfusowe. Częste były objawy rozstroju, kobiety gadały od rzeczy, z osłabienia i głodu dostawały konwulsji. Czasem koleżanki dzieliły się z potyfusowymi fasunkiem. Na tle powszechnego egoizmu, walk o kęs chleba i grożącej śmierci głodowej, akty takie wymagały poświęcenia i były wyrazem prawdziwego bohaterstwa.

Prócz tyfusu szerzyła się biegunka, na którą nie było ratunku, nadto flegmona, paraliż mięśni, osłabienie wszystkich zmysłów. I w takim stanie trzeba było iść do pracy, by uniknąć selekcji.

Jako komplikacje potyfusowe występowały zapalenia gruczołów limfatycznych, przeważnie w okolicy podszczękowej i przyuszniczy.

Inną chorobą, która dziesiątkowała więźniów i trwała niekiedy miesiące, była t. zw. „hasagówka”. Objawiała się gorączką typu tyfusowego, biegunką oraz powiększoną śledzioną.

Potyfusowych nie chciano później przyjąć do lżejszej pracy, tylko do rozmaitych wykończalni, chyba że dawały wielki okup.

V

DWA DNI

Wśród więźniarek było wiele kobiet, których ostoją była głęboka wiara. Cierpienie wydobyło z nich nowe wartości moralne. Podtrzymywały złamane na duchu kobiety, koili dobrym słowem i czynem, były wzorem miłości bliźniego. W tęsknocie za tym światem, który się już zapadł, przestrzegały dni świątecznych, a w modlitwie przeżywały chwile skupienia wewnętrznego, które pozwalały im zapomnieć o tragicznej rzeczywistości. Płoniki piątkowych świec były dla nich jedyną jasnością wśród ciemnych dni tygodnia. Z trudem zdobywały ogarzek świecy, by uświęcić wieczór piątkowy tak, że gdy wracaliśmy w piątek o szóstej z pracy, nastrój piątkowy, za którym tęskniło wiele kobiet, stwarzały płonące świeczki. Barak, jak codzien brudny. Mały piecyk w środku nie daje dostatecznego ciepła. Jak zwykle grzeje się przy piecu kilka zmarzniętych kobiet, wybranka losu gotuje

kilka kartofli, inna miarkę jaglanki za 2 złote, reszta czeka w kolejce. Przy piecu toczyły się kłótnie, awantury, młodsze i silniejsze zdobywały piec. Najgorzej odbiły się wpływy życia obozowego na młodzieży w wieku 14—16 lat. Są to te dziewczęta lepiej rozwinięte fizycznie, które przybyły z matkami do Skarżyska. Sieroty, których ojcowie już dawno zostali „wysiedleni” na śmierć, a matki umarły w Skarżysku na tyfus. Żyją wśród starszych. Dziewczęce ich lata mijają w brutalnej atmosferze życia obozowego. Jeden istnieje dla nich pewnik; by żyć i przeżyć w lagrze, trzeba rozpychać się łokciami. Niektóre bezwzględne w zachowaniu i mowie, traktują z pogardą starsze, nauczone przez Niemców, że starsi zajmują niepotrzebnie miejsce. Hasła niemieckie, że wartość mają tylko młodzi i silni, wszczepiły jad w umysły młodociane i szerzyły spustoszenie moralne. Zdarzało się, że mówiły: „Ty stara zajmujesz niepotrzebnie miejsce”.

Kilka niedopranych trotylowych szmat suszy się na piecu. Słyszało się narzekania, że pikryniarki, które nie liczenie bywały reprezentowane, bo miały swój osobny barak, zatruwają powietrze. Faktem jest, że ich żółte szmaty wydawały przy suszeniu gorzyc, którą przesiałkało jedzenie. Od pieca rozchodził się smakowity zapach gotujących się kartofli, które są niedoścignionym marzeniem głodnych, (w Skarżysku nigdy nie jadłyśmy kartofli, a tylko zgniłe cuchnące płatki ziemniaczane). Głodne kobiety siedzą na pryczach, zadrośnie zerkają na piec, śledzą każdy ruch jedzących. Potworna walka o byt wypłeniła z serc litość. Zresztą każdy ma tak mało, że dla dwóch nie starczy. Przychodzą pikryniarze, zebrząc o łupiny z kartofli, co należy do przysmaków. Stają na przeciw prycz i patrzą na jedzące z rozpaczą i błaganiem w oczach. Czasem dostaną jakiś ochłap, budzą jednak

ogólny wstąpił i wyrzucił ich z baraków. Płaczą. Zdają sobie sprawę, że jeśli nie wyżebrzą czegoś do zjedzenia, czeka ich rychła śmierć. Na każdym kroku spotykano żebrzących pikryniarzy. Niektórzy nie mieli sił dowieść się do baraku i konali w błocie. Bardziej zaradni o mocnej konstrukcji fizycznej zgłaszali się do noszenia trupów, za co dostawali jeszcze jedną zupe. Inni roznosili kawę po barakach i sprzedawali ją za mały kęs chleba. Tym, którzy nie byli już w stanie wystawać w ogonku po kawę.

Policjanci wpadają na kontrolę, czy się świeci w barakach i czy jest sprzątnięte. Często wpada pijany komendant. Kontroluje czy buty stoją na baczność, czy wszystko jest ułożone, czy menażki schowane, czy nie ma porozwieszanych suszących się szmat. Gdy mu się coś nie podoba, zarządza karny apel i karną gimnastykę z przysiadami w błocie.

Po zgaszeniu światła rozmowy w ciemności trwają. Część kobiet woła o spokój, śmiertelnie zmęczone chcą spać, podczas gdy inne, bardziej żywotne mają tysiące spraw do omówienia. Często zakłócają spokój *ODemani*, którzy przychodzą do „kuchynek”. Prawie nikt się nie rozbiera, bo nie ma zmiany bielizny, by się przebrać i nie ma sienników ani koców. Kobiety kładą się na brudne prycze, zapadają w koszmarny półsen. Wszy, pluskwy, pchły. O trzeciej rano wraca nocna zmiana, robotnice z fabryki Schmitza. Budzą hałasy, krzyki i nikt się nie liczy z tym, że inne muszą wstać rano do ciężkiej pracy. Za ledwie ponownie zasnęły, już jest pobudka. *ODeman* wali butami do drzwi baraku i krzyczy: „Pobudka, — wstawać — nooooo...”. Zaspiane pędzą kobiety do latryny. Błoto wciska się do podartych drewniaków, bulgoce przy każdym kroku, w mroźne dni śnieg przylepia się do drewniaków i każdy krok jest męką. W la-

trynie wszystkie dziury są zajęte. Prawie wszyscy więźniowie mają chory pęcherz i biegunkę, niektórzy są tak osłabieni, że nie mogą się o własnych siłach podnieść z oślizgłych siedzeń, proszą towarzyszy, by im pomogli wstać. Nie można się doczekać kolejki i ludzie załatwiają się na podłodze. Góry kału rosną. Z latryny biegnie się do waschraumu, który tonie w wodzie. Prawie wszystkie kurki są zepsute. Więźniowie nie przestrzegają kolejki, popychają się, kłóca, silniejsi zdobywają kurek.

Po kawę ustawiają się w ogonku. Jednak tylko części udaje się zdobyć kilka łyków, bo już policjanci zagnają i spędzają na plac apelowy. Za spóźnienie komendant bije i karze bunkrem. Do pracy zabiera się całe swoje mienie: szmatę do wycierania, kawałek mydła, paczuszkę z proszkiem do prania, odrobinę soli, łyżkę, pogiętą puszkę. Nie można bowiem tych skarbów zostawić w baraku, bo wszystko ginie. Zbyt duże węzłki odbierają; zwracają je wieczorem, ale puste.

Po odejściu dziennej szyci, kobiety z nocnej zmiany próbują spać. Co chwila wpadają *ODemani* na kontrolę porządku baraku, następnie przychodzi sanitariusz, kontroluje zwolnienia, wyłapuje chorych (którzy ukryli się, bo bez 40° gorączki nie otrzymują zwolnień), po tym komendant dokonuje ponownej kontroli. Ponieważ zachodzi obawa przybycia komisji, więźniowie z nocnej zmiany muszą wstać i zrobić porządek. Próbujemy usnąć, ale wysiłki są daremne, bo głód zaczyna dokuczać. Żołądek upomina się o swoje. Między godziną jedynastą a dwunastą ubieramy się, by wyjść po zupe i wycelować odpowiednio w tym momencie, gdy beczkę przechylają, bo na dzień zupa gęściejsza i można wyłowić parę krup. Niektórzy nie mogąc dłużej walczyć z głodem,

wyprzedzają resztę, dochodzą pierwsi do beczki i chlepczą szczerą wodę.

W życiu lagrowym było kilka świątecznych dni. Do kuchni przyszedł transport śmierdzącego mięsa, które musiało się natychmiast ugotować i każdy lagrowiec dostał po kilka kawałków, o czym długo później wspominał; kucharze w kuchni mówili, że przy sporządzaniu tego mięsa musieli nałożyć maski gazowe.

O pierwszej godzinie kończyło się wydzielanie zupy. Biada temu który zasnął, bo skazany jest przez resztę dnia na szarpiący głód. O drugiej godzinie fasunek. Otrzymuje się pajdkę chleba, wagi 18 dkg, który ma wystarczyć na całą dobę. Musi się być osobiście przy podziale, bo więźniowie rzucają się na chleb, by dostać większy kawałek, lepiej wypieczony, bez zakalca, nie ułamany, koniec lub środek. Biada słabszym. Nie obchodzi się nigdy bez płaczu, ci zaś którym się udało, uciekają ze swą pajdką i zjadają ją natychmiast. Na długą noc pracy pójdą więc bez chleba.

Znów pobudka. Nocna zmiana idzie do pracy. Nie-wyspani powłóczą nogami, wloką się do fabryki na długą noc. Najgorsze są nocne zmiany. Obezwładnia senność i nie pomagają polewanie się zimną wodą. Radykalnie wytrąca ze snu granat spadający na nogi, a popędza norma. Po pięciu godzinach pracy przerwa 15 minutowa. Wydziela się zupę. Połyka się zimną skwaśniałą ciecz, która stoi od rana w poźółkłej beczce.

Gdy norma jest wykonana, więźniowie gotują się do odejścia. Wytrzymalsi, o silniejszej woli obmywają twarz, ręce, reszta przykuca pod kaloryferem, czekając na gwizdek wzywający do powrotu. Po odliczeniu więźniów, które trwa w nieskończoność, pochód zmarzniętych, umęczonych nieszczęśników rusza z powrotem do baraku.

Mimo niedzieli jest pobudka jak zwykle i więźniowie pracujący przy granatach i pikrynie muszą iść do pracy. Nie była to wprawdzie praca na halach, a tylko sprzątanie śmieci na dworze, niezależnie od pogody. Pod okiem majstra przenosi się śmieci z jednego miejsca na drugie, by w przyszłą niedzielę zrobić to samo. Zwykła szykana, by nie dać ludziom umęczonym po całotygodniowej pracy upragnionego wypoczynku. Na terenie fabryki załatwiano potrzeby naturalne w lesie. W niedzielę sprzątało się kał, a gdy majster stał nad więźniami, musieli to robić gołymi rękami, przy czym bito bardziej niż na hali. W niedzielę pozbawieni odpoczynku więźniowie byli najbardziej przygnębieni.

O czwartej powfót do baraków. Mała miseczka do mycia krąży z rąk do rąk. W baraku kobiecym jedne się myją, inne naprawiają odzież, pod oknem widać grupy, które przeglądają zawieszoną garderobę, w kąciку pryczy ktoś dorwał się do książki. Toczą się rozmowy, w których powraca się wspomnieniem do minionego życia na wolności, snuje się marzenia o lepszej przyszłości, bez prycz, głodu, krąg, chodzenia piątkami.

Kwitną zajęcia rękodzielnicze. W barakach męskich naprawia się buty, robi puszki, grzebienie, łyżki o dziwacznej formie. Zaradniejsze kobiety gotują garnki z jedzeniem na sprzedaż, głodne, które nie mogą się zdobyć na kupienie choćby miareczki kaszy za 2 zł siedzą skulone na pryczy i patrzą głodnymi oczami na jedzące.

Z baraków męskich uciekają mężczyźni do baraków kobiecych i chowają się pod prycze, bo Niemcy łapią do transportu kolejowego.

Po barakach chodzi *Wachfuehrer*. Co chwila wpadają policjanci, zrzucają ze ścian suszące się szmaty. Trzeba dobrze ukryć przed ich czujnym okiem menażki, by nie znalazły się na śmietniku obozowym. Na zewnątrz

wszystko musi mieć „odsświętny” wygląd. Przychodzą śpiewacy, którzy wędrują po barakach i zarabiają śpiewem.

Znajomi odwiedzają się wzajemnie. Przychodzą „kuzyni” do swych znajomych i przesiadują godzinami w baraku, ku oburzeniu innych kobiet, którym mężczyźni przeskadzają w niedzielnych zajęciach.

Są tacy, którzy ostatnim wysiłkiem wygrzebali skądś ołówki i skrawki papieru i opisywali przeżywane troski, smutki i fantastyczne marzenia o wolności. Często toczyły się dyskusje polityczne. Gazetę zdobywało się z trudem za pośrednictwem Polaków na halach, jednak kolportaż był niebezpieczny. Czytano je ukradkiem, bo czytanie, podobnie jak pisanie, było wzbronione. Powstawały przy tym nieprawdopodobne plotki, bo wiadomości, podawane z ust do ust, urastały do niebywałych rozmiarów. Dobre wieści podtrzymywały na duchu, złe strącały na dno rozpacz.

W obozie zawiązywały się serdeczne przyjaźni, zastępujące miłość najbliższej rodziny i te były prawdziwym dobrem moralnym na tle twardej walki o nagie życie.

W niedzielę, kiedy wracaliśmy nieco wcześniej z pracy i następowało odprężenie, każdy zdawał sobie sprawę z całej ohydy tego bytowania, zaniedbania fizycznego i upadku moralnego i wtedy ogarniała nas głęboka depresja.

Do najgorszych należały niedzielne noce. Więźniowie nie mieli własnych prycz. W dzień powszedni, w czasie nieobecności jednej szychty, druga zajmowała jej miejsce. Ponieważ w niedzielę były obie zmiany w baraku i wciąż kręcili się ludzie, powietrze było ciężkie i duszne. Na pryczy leżeli ciasno ułożeni więźniowie. Nikt nie spał, a wypoczynek zmieniał się w zmore. Nie-

dziela, o której marzył każdy więzień, była trudniejsza do przeżycia, niż każdy inny dzień w tygodniu.

Praca ponad siły przy obozowym fasunku, wykańczała ludzi. Przed śmiercią głodową ratował kontakt ze światem zewnętrznym. Wychodząc z domu do pracy, nieliczni posiadający resztki dobytku, mieli możliwość nabywania środków żywności. Stąd powstawał handel.

W lagrze można było dostać najrozmaitsze produkty. Przynosili je do obozu lagrowcy, pracujący razem z Polakami, którzy dostarczali towaru. Więźniowie uprawiali handel pomimo grożących im represji. Na bramce były częste rewizje i drogi wiodące z hal do lagru obstawione były „werkschutzami”, którzy rewidowali więźniów i zabierali wszystko. Handlujący narażali się na straty materialne i bicie. Lecz życie mocniejsze było od strachu. W ten sam dzień druga zmiana — mimo ryzyka — znowu przenosiła towar. Najobrotniejsze zaś były pikryniarki, mimo że handel im przychodził najtrudniej.

Nie miały bezpośredniego kontaktu z Polakami, gdyż na pikrynie Polacy nie pracowali jako robotnicy, tylko jako majstrzy i musiały się podczas pracy przemykać na inne hale i tam skupować towar. Narażały się, bo nie wolno było oddalać się od miejsca pracy, tym bardziej, że pikryniarkę każdy poznawał, bo była żółta. Ratując się przed zagładą, handlowały. Nie handlowali mężczyźni pikryniarze. Zbyt byli wycieńczeni i apatyczni, by móc o czym innym myśleć po powrocie z pracy jak o zwaleniu się na pryczę.

Towar sprzedawało się na pryczach. Niektórzy mieli nawet wagę i odważniki. Klienci napływali tłumnie. Miało się złudzenie, że jest się w sklepie. Największy popyt miała jaglanka, bo można ją było najprędzej ugotować i miarkę za 2 złote po gospodarsku podzielić na dwie por-

cje. Bogatsi kupowali łyżkę soli, kostkę cukru. Zbytek stanowiła pajdka chleba za 4 złote.

Strach przed śmiercią głodową doprowadzał do tego, że ludzie wyzbywali się wszystkiego, sprzedawali jedyną koszulę i nakładali papierowe worki, by kupić jedzenie. Sprzedawano złote zęby za kawałek chleba.

Na wiosnę przyszły ubrania do magazynu. Po pracy stali więźniowie godzinami w kolejce. Na werku A. Kühneman szczuł psami więźniów, wyczekujących w kolejce do magazynu.

Lepsze rzeczy dostawali protegowani, nędzarze zaś otrzymywali podarte łachy i to decydowało o ich losie, bo podczas selekcji wszyscy źle ubrani poszli na śmierć.

Z przerażeniem poznawaliśmy w przestrzelonych i pokrwawionych ubraniach rzeczy po Żydach. W niektórych butach były zaszyte pieniądze. Pikryniarki były szczęśliwe, że zrzuciły gnijące papiery i włożyły suknie. Były to strzepy, które łątano różnymi kolorowymi gałgankami, tak że często suknia wyglądała jak szachownica. Robiono przeróżne kombinacje, bluzki z gałganków, każdy rękaw przód i tył inny. Stroje te nadawały więźniarkom groteskowy wygląd. Bywały jednak i takie, które miały względy kierownictwa obozu. Tym wiodło się lepiej, były przyzwoicie ubrane i odbijały na tle nędzy obozowej.

VI

WIOSNA 1944

Z wiosną 1944 coraz częściej nawiedzały lager komisje, poprzedzone wielkim porządkowaniem. Nie wróżyły one nic dobrego, bo z przeszłości lagrowej pamiętaliśmy, że po każdej komisji następowała selekcja lub wywózka do innego lagru. Tym razem horoskopy nie sprawdziły się, przeciwnie warunki poprawiły się. Założono nowe

ambulatorium i nowy szpital. Wybrukowano drogi, t. zn. nie wysychające bajora w Skarżysku wyłożono gałęziami, posypano żwirem. Po deszczu wyłaziły spod kamyków gałęzie, o które się potykano.

Epidemia tyfusu minęła bez środków odkażających, teraz zaś wygazowano baraki i pomalowano na żółto, a prycze na pstrokato, przykryto papierami i, o ironio, założono nawet kwietniki. Zaczęto bardziej dbać o czystość, pierwszy raz od czasu istnienia lagru wysypano wapnem latrynę i ustanowiono stałego sprzątacza. Z „Jusu“ nadeszły lekarstwa do szpitala i chorzy dostawali jeszcze jedną zupę. Poprawił się fasunek, zamiast 20 dkg otrzymywano 35 dkg chleba, a ciężko pracujący przy granatach, pikrynie i transporcie dostawali 25 dkg kaszanki tygodniowo. Na barakach wymalowano napisy: „Bessere Arbeit, gute Kost“ *) „Arbeit schafft Zufriedenheit“ **). Widocznie brakło robotników do pracy i zachodziła obawa, by te resztki nie wymarły z głodu.

Mimo poprawy warunków, śmiertelność się nie zmniejszyła, gdyż ludzie znajdowali się w tym stanie wycieńczenia, że pomoc przyszła za późno i była niedostateczna.

W swym zakłamaniu, dla pokazania światu, jak to Niemcy humanitarnie postępują wobec więźniów, zarządzono zorganizowanie koncertów. Więźniowie rozwinęli przy tym daleko idącą pomysłowość w wykonaniu tych imprez, bo niektórzy mieli zdolności artystyczne tak, że koncerty stały nieraz na wysokim poziomie.

Na program składały się chóry, tańce, skecze, które we formie satyrycznej oddawały codzienne przeżycia lagrowe. Śpiewano pieśni w języku żydowskim, polskim,

*) „Lepsza praca, dobry wikt“.

***) „Praca daje zadowolenie“.

hebrajskim. Szczególny zachwyty zaś wzbudził taniec wykonany artystycznie przez jedną z więźniarek na melodię „Kol Nidre”. Imprezy te urządzano na leśnej polance za barakami, tak że były widoczne dla miejscowej ludności, Niemcy bowiem chcieli wzbudzić w społeczeństwie polskim przeświadczenie, że Żydom się dobrze dzieje w obozie, co im się też udawało. W dzień koncertu lager przybierał odświeżony wygląd, a pikryniarzy usuwano do baraków. Zza drutów przyglądali się widowisku mieszkańcy Skarżyska. Dziwili się, patrząc na czystych lagrowców, tańczących na leśnej polanie i zadawali sobie pytanie: czy to jest owo ponure miejsce kaźni, o którym krążą nieprawdopodobne plotki w mieście i gdzie są te piszczele ludzkie, odziane w gnijące papiery, staczające na śmietniku obozowym bójki o cuchnące ochłapy.

VII

POCISKI, KTÓRE NIE WYBUCHŁY

Pewnego dnia w styczniu 1944 roku zginęły dwie skrzynki z amunicją w magazynie w baraku 162 i 163-im, koło hali fabryki Schmitza. Przyjechali kierownicy fabryk ze wszystkich trzech werków i zaczęły się dochodzenia i przesładowania. Rzucono się metodą niemiecką przede wszystkim na kilka kobiet starszych, które tam pracowały. Zastraszono je, grożono śmiercią i męczono, by wydały sprawcę. Zniknięcie skrzynek nastąpiło tak nagle, w czasie przerwy obiadowej, że nikt nic nie spostrzegł. Kobiety te nic nie widziały, ani nie wiedziały. Nie chciano wierzyć, by się ktoś na to odważył i że to jest możliwe. Okazało się jednak, że zdarzyło się to nie pierwszy raz i że były już poprzednio wypadki zaginięcia skrzynek z amunicją. Tego wieczoru zatrzymano całą szychtë do drugiej w nocy; na „Betriebe” odbyła się rewizja. Amunicji wprawdzie nie znaleziono, ale odebrano obo-

zowcom te resztki mienia, które zdołali ocalić przy poprzednich rewizjach. Zabierano nawet chleb.

Po tem dowiedzieliśmy się, że amunicję kradziono, dostarczano partyzantom do lasu i szły słuchy, że działa w obozie jakaś organizacja, lecz wszystko było otoczone tajemnicą. Jednego magazyniera Rosenzweiga rozstrzelono na miejscu, dwóch wydano do Hasagu w Kielcach, gdzie ich podobno domęczono.

Szeptana plotka donosiła o granatach zakopanych w piasku, znajdowanych przypadkowo przez robotników transportu, lecz wiedzieli o tym tylko nieliczni. Bano się mówić, jednak wieści takie krzepiły serca.

Na hali szóstej i pięćdziesiątejtrzeciej sypano piasek do skrzyń z trotylem i wlewano wodę do kotłów, w których gotował się trotyl, tak że granaty wypróbowane na strzelnicy w 75% były niewypałami. Niemcy spostrzegli się wreszcie, zarządzone badanie, pilnowano robotników tej hali, zaś robotnika dozoruującego, Romana Gerstela, poprowadzono na strzelnicę. Po drodze uwolnił go naczelny dyrektor fabryki, gdyż jako zdolny był potrzebny do produkcji, ze słowami:

„Er entkommt mir ohnehin nicht”.

Na pikrynie pod nieobecność majstrów pakowano do skrzyń uszkodzone kostki pikryny, które stanowiły szmelc.

O sabotażach we fabryce Schmitza zeznaje więźniarka, Felicja Bannet:

„Na hali 84 i 85, rozkręcano stare dwucentymetrowe naboje przeciwlotnicze, wysypywano materiał wybuchowy, napełniano granaty świeżym prochem, a potem należało granat tak szczelnie dokręcić, by nie pozostała najmniejsza szpara, w przeciwnym bowiem razie granat nie wybuchał. Inżynier Schmitz, kierownik oraz naczelny dyrektor, majstrowie i przodownicy, co pół godziny chodzili po salach i trzymając pierwszy lepszy granat pod światło, specjalnie badali, czy był należycie dokręcony. Najlżejszą karą za niedokręcenie

było kilka siarczystych policzków. Za sabotaż grożono strzelnicą. Mimo to zaledwie kontrola odchodziła od nas, granatów nie dokręcano i szybko pakowano je do skrzyń. Gdy któraś w nadmiarze gorliwości lub nie orientując się o co tu chodzi krzyczała, by starannie pracować, trącano ją łokciami i z uśmiechem pouczano, że gorliwość jest głupotą. Nie padło na ten temat ani jedno zbędne zdanie, — porozumiewano się oczyma, wymownym uśmiechem". (Archiw. W. Ż. K. H. w Krakowie. Lb. 736).

Ewakuowane w lipcu 1944 do centrali „Hasagu” w Lipsku niektóre kobiety kontynuowały tę tradycję Skarżyską.

O dostarczaniu wyprodukowanego materiału do lasu do partyzantów zeznaje Henryk Wasserlauf.

Żydzi pracujący przy transporcie byli w zмовie z maszynistą Polakiem, który miał łączność z oddziałami A. K. Niemcy nie mogli przyłapać konspiratorów, choć docierały do nich wiadomości o wywożeniu amunicji. Pewnego razu wzięto nagle Wasserlaufa jako bezpośredniego pomocnika maszynisty i usiłowano biciem i groźbą śmierci wymusić na nim zeznanie, komu maszynista oddaje amunicję. 17-letni chłopiec upierał się, że nie wie o niczym. Na szczęście Ukraińiec, który denuncjował maszynistę, nie umiał mu niczego udowodnić i chłopca puszczono wolno.

(Archiwum Wojew. Żyd. Kom. Hist. w Krakowie Lb. 866)

Na werku A. wносиły dziewczęta z fabryki pociski na inne hale, gdzie pracowali Polacy, którzy mieli kontakt z partyzantami, przenosiły amunicję w butach o podwójnym napiętku, ściągniętych górą paskiem. Stawiały wszystko na jedną kartę, ponieważ nie wolno było oddać się z miejsca pracy, a poza tym Niemcy przeprowadzali częste rewizje na halach i na drogach między halami i kobiety te w każdej chwili narażone były na śmierć. Ofiarą tej pracy konspiracyjnej padła młoda dziewczyna. Lola Mendelewicz, rozstrzelana wraz z młodym Żydem Edkiem, który usiłował uciec do partyzantki. Znaleziono

u niego broń i po dłuższych badaniach Niemcy doszli, że pomagała mu Lola Mendelewicz, która była w stałym kontakcie z partyzantką. Przyłapano też na przenoszeniu amunicji w skrzynkach pod szmatami Vorarbeiterkę Polkę z naboju (karabinówka) i Vorarbeitera Polaka z magazynu i zaaresztowano ich. Przyrzeczono im wolność, jeżeli wydadzą towarzyszy z organizacji. Nieszczęśliwi musieli przejść przez długą mękę badania, lecz nie załamali się i pomimo tortur nikogo nie wydali. Powieszono ich publicznie na bramie przed wachą.

W jakiś czas później przyłapano młodego Żyda na przenoszeniu amunicji. Rano o 8-mej obudzono nocną zmianę, która musiała być obecna przy egzekucji. Odczytano wyrok skazujący go za sabotaż na śmierć przez powieszenie. Wisiał cały dzień i całą noc, by mogły go widzieć obie szychty, dla których ten widok miał być ostrzeżeniem na przyszłość.

VIII

JEDZIE PATELNIĄ

Obecnie blisko dwa lata po zlikwidowaniu obozu, wiemy na podstawie dokumentarnych zeznań, że w lasach Skarżyska tuż przy budynkach fabrycznych werku C istniało krematorium. Przywożono tam ludzi, wykańczano strzałem w kark a potem palono 180 ludzi dziennie. Od końca kwietnia do końca czerwca 1944 r. dymił komin tego pieca. Wrażenie jakie to wywoływało na wylęknionych więźniarkach, pracujących na halach, oddaje zeznanie Felicji Bannet.

Wczesną wiosną 1944 roku zjechała do Skarżyska komisja złożona z dygnitarzy SS — i udała się na strzelnicę, na miejsce egzekucyj. Równocześnie szedł film propagandowy, w którym Niemcy

starali się siebie wybielić, wykazując, że Żydów mordowali Polacy i Ukraińcy, podczas gdy oni wzięli Żydów do obozu, dali im pracę i uchronili ich przed śmiercią. Na wiosnę odgrodzono pewną część lasu dużą zasłoną z maty, słomy i papieru i wystawiono duże czarne tablice z trupią główką, z białymi napisami: „Das Betreten dieses Platzes ist unter Todesstrafe untersagt“ — „Zbliżenie grozi natychmiastową śmiercią“. Na drodze zaś zaczęły się pojawiać transporty składające się: 1) z małego auta osobowego oznaczonego numerem policyjnym, w którym siedziało zawsze kilku dygnitarzy SS, 2) auta policji: platforma ciężarowa z ławkami z 30-tu żandarmami w hełmach z karabinami u nogi. Trzecie auto przypominało wagon kolejowy, szczelnie zamknięty. Miał górą wysoko zakratowane okienko i komin wentylacyjny. Z trzeciego auta słychać było mierz krzyki i jęki. Nieraz wychyliła się ręka, która kiwała w naszym kierunku. Ktoś słyszał krzyk Jezus Maria, ktoś inny Szema Israel.auta zajechały na miejsce odgraniczone tablicami koło strzelnicy. Strzałów nikt nie słyszał. Natomiast nad odgrodzoną częścią lasu unosił się ogromny płomień o czerwonym i niebieskawym kolorze, a po lesie i po hałach pracy roznosił się specyficzny swąd, jak twierdzili wypraktykowani więźniowie z Majdanka, swąd ludzkich ciał i spalonych kości. Przerazenie paraliżowało pracę, bo byliśmy przekonani, że nas czeka ten sam los. Auta jechały dniem i nocą. Czasem podczas pracy widziałyśmy jak auta jechały tam i z powrotem. Niektórzy żołnierze wdawali się z nami w rozmowy i opowiadali, że w owych wozach wiezie się zdrajców „Vaterlandsverräter“. „Ihr braucht nichts zu fürchten, ihr seid Arbeiter und euch schützen wir“. Wyżsi SS chodzili po lesie i po hałach, wpadali na kontrolę czy pilnie pracujemy, choć nie byli upoważnieni do tego. A gdy raz zastali wyczerpaną tyfusem, głodem i pracą nad siły młodą dziewczynę odpoczywającą chwilowo w lesie, jeden zawołał, pokazując na przejeżdżające tajemnicze auta: „Wenn ich dich noch einmal so antreffe, kommst du dorthin“. Czasem widać było chodzących po lesie dwójkami ludzi w czarnych luźnych płaszczach podobnych do sędziowskiej togi w czapkach podobnych do sędziowskich baretów. Byli to grabarze. Kilka razy widziałyśmy jak spoza zasłony rozsypany po lesie popiół z dużych urn. Gdy te auta jechały, mawiano: „jedzie patelnia — kiedy ja będę się smażył?“

(Achiwum Woj. Żyd. Kom. Hist. w Krakowie Lb. 36).

IX

Z POLSKI DO SAKSONII

W miarę jak postępowała ofensywa sowiecka, mówiono w lipcu 1944 r. coraz częściej o przeniesieniu nas i fabryki do centrali do Lipska. Częste alarmy, zniesienie nocnych zmian, brak surowców, zamykanie poszczególnych hal, rozkręcanie maszyn, które wysyłano do Niemiec, stłumione detonacje, wszystko to budziło niepokój, zdenerwowanie i nadzieję. Niemcy uciekali z dziećmi, z walizkami, tobołami, skrzyniami pełnymi zrabowanych kosztowności. Trudno się było zorientować wśród krzyżujących się sprzecznych pogłosek i wiadomości podawanych w gazetach. Szeptano sobie do ucha, że front jest blisko, że Czerwona Armia jest oddalona około 50 km od Skarżyska.

Nikt nie mógł usiedzieć przy pracy. Chaos i dezorganizacja były powszechne i przeobraziły się w panikę. gdy od 25 lipca zaczęła się rejestracja — najpierw mężczyzn. Oglądaliśmy dokładnie każdego więźnia, wachfuehrer stawał przy nazwisku strzałki i krzyżyki. Nie wiadomo było co oznaczają te tajemnicze znaki. Pocięszano się, że jest to podstawa do przydziału odzieży w magazynie. Niektórzy cieszyli się nawet, że są na liście.

Na werku C. na strzelnicy, gdzie znajdowały się masowe groby, kopano przez dłuższy czas rowy. Padały domysły co do ich przeznaczenia.

Pomimo zapewnień Niemców, że nic nam nie grozi i wszyscy pojedziemy do obozów pracy, a wywózka ma na celu tylko nasze dobro, panika się wzmogła. Ludzie zaczęli ukrywać się przed rejestracją, wiedzieliśmy bowiem z doświadczenia, że likwidację obozu poprzedza zawsze selekcja.

Z werku A. nadchodziły wieści, że jadą zaplombo-

wane pociągi z Żydami. Przez zadrutowane gęsto okienka wyglądały przerażone twarze ludzkie, szeptano, że to do obozów śmierci.

W szpitalu powstał popłoch, kilku chorych próbowało bez powodzenia ucieczki.

W sobotę popołudniu skończyliśmy wcześniej pracę. Rozwścieczeni Niemcy wyganiaли przerażone kobiety, bili, kopali, przynaglali do pośpiechu. Wracaliśmy do obozu przez pachnący las, w piękny dzień lipcowy jak zastraszona trzoda. Patrzyliśmy na rozrzucone za drutami siedziby ludzkie, widziałyśmy śmiejących się, spacerujących po lesie. Na polance bawiły się dzieci. Słychać było zdala ich jasne głosy.

W nocy z soboty na niedzielę nikt się nie rozebrał, nikt nie spał. Była to noc zgrozy i trwożnego wyczekiwania.

30 lipca rano zanesiono do szpitala ubrania i koce. Odetchnęliśmy z ulgą, że chyba nic nie grozi chorym, że zostaną wysłani do szpitala w innym lagrze. Tego dnia przyniesiono chorym lepszą zupę. Mimo to czuli oni, że coś wiśi w powietrzu. Kilku udało się zbiec.

Akcja zaczęła się w południe. Posłano na śmierć mężczyzn ze szpitala. Skazańcy ubrani byli w bekesze, których pełno było w magazynie po zagazowanych w Majdanku Żydach, niektórych niesiono na noszach. „Muzułmanów” wagi 35 kg nosili pikryniarze na rękach jak dzieci, wózki z obłożnie chorymi ciągnęli ci więźniowie, którzy mogli się jeszcze zwlec z barłogu o własnych siłach. Pod koniec i tych rozstrzelano.

Potem poszły kobiety ze szpitala. Wyganiał z baraków więźniów, którzy przez dłuższy czas leżeli w szpitalu. Byli oni już zdrowi, ale jako rekonwalescenci mieli jeszcze zwolnienia, do pracy nie chodzili i byli w ewidencji szpitala. Między innymi zabrano 17 letnią dziewczynę,

która od roku 1942 pracowała w Hasagu. Była jedną z nielicznych, która pozostała przy życiu z pierwszych transportów. Pierwszy raz od trzech lat miała zwolnienie na kilka dni, bo spadł jej granat na nogę. Poszła na śmierć. Kilka młodych dziewcząt poszło dobrowolnie na śmierć za matkami, młodymi jeszcze kobietami: 18-letnia Dora Rosenblatt, dwie młodsiutkie siostry Fortgang, 22-letnia dziewczyna, mimo że Wachführer usiłował powstrzymać ją biciem, nie pozwoliła się oderwać od matki.

Młoda lekarka, Mina Krenzler poszła za matką. Policjanci chcieli ją gwałtem oderwać od matki, szamotali się z nią, przemawiali do rozsądku, że jest młoda i ma przyszłość przed sobą. Nawpół oszalała gryzła po rękach policjanta, który nie chciał jej przepuścić. Uczepioną ręki matki zastrzelił Ukrainiec za bramką.

W południe zarządzono apel mężczyzn. Wachführer odczytał nazwiska mężczyzn opatrzone na liście strzałkami. By odwrócić czujność skazańców i zachować pozorę, że są ewakuowani do obozu pracy, kazał wyczytanym wrócić do baraków po rzeczy. Następnie ustawiono ich pięćdziesiątkami przy bramce, w szeregach, po pięciu. Skazańcy stali i czekali. W ten sposób można było spokojnie przeprowadzić „akcję”. Jednak pozostali zdawali sobie sprawę, że zanoszą się na coś złego. Wysłani po rzeczy nie wszyscy wrócili z baraków, niektórzy ukryli się. Ponieważ brakło ofiar do kontyngentu, Wachführer zarządził ponowny apel wszystkich mężczyzn. Wysegregował wszystkich pikryniarzy, odstawił na bok obdartych, poowijanych w szmaty, wycieńczonych, majstrowie zaś załatwiali osobiste porachunki z więźniami, wydając wiele ofiar na śmierć. Poszli prawie sami młodzi.

Następnie Wachführer zarządził zbiórki kobiet. W szalonym popłochu wyganiał kobiety na plac ape-

lowy. Selekcja odbywała się w ten sposób, że Wachführer stał w uliczce u wylotu placu apelowego, a kobiety musiały przed nim przebiegać gęsiego. Obojętnie, skinieniem palca, odstawiał na bok kobiety starsze, wycieńczone, o zapadniętych twarzach, przede wszystkim źle ubrane, o spuchniętych nogach, źle obute, wychudzone, szare, żółte od pikryny. Wyprowadzono je za bramkę.

Kobiety pracujące w kuchni, która znajdowała się za bramką opowiadały, że spośród ofiar idących na śmierć kilku wygłodzonych mężczyzn wpadło do kuchni krzyżąc: „dajcie nam chleb, idziemy na śmierć. Chcemy być przynajmniej przed śmiercią syści”. Skazańców odprowadzono pod silną eskortą werkschutzów na strzelnicę, gdzie odbyła się egzekucja. Ofiary pochowano w masowych grobach, przygotowanych przedtem. Zginęło 300, przeważnie młodych ludzi, 15% ogólnej liczby więźniów na werku C.

Pozostałe kobiety ustawiono w dwa szeregi. W pierwszym były same młode i ładne dziewczęta, w drugim starsze. Ponieważ stojące w drugim szeregu obawiały się że będą przeznaczone na śmierć, zaczęło się przebieganie w popłochu do pierwszego szeregu, tak, że po jednej stronie pozostała nieliczna garstka, a po drugiej stłoczyły się rozgorączkowane kobiety. Garstkę, która nie miała odwagi przelecieć do pierwszego szeregu, zamknięto w przyległych barakach. Panował przedśmiertny nastrój. Kobiety krzychały, przez okna wyciągały ręce do przyjaciół i policjantów, błagały o ratunek. Policjanci krzyżeli: „nie hałasujcie, dwa dni później pojedziecie”. Nie wierzono im. Kobiety przeznaczone do pozostania, w obawie przed nową selekcją wyskakiwały tylnymi oknami na pole i wpadły do baraków. W międzyczasie rozpuszczono młodsze z pierwszego szeregu, by

poszły po rzeczy, gdyż jak się potem przekonaliśmy, miały wyjechać natychmiast do innego obozu pracy, a tylko część miała pozostać na hałach do ostatecznej likwidacji lagru. Ponieważ nie orientowaliśmy się w zamierzeniach Niemców, wybuchła panika i na placu zebrały się wszystkie kobiety. Nastąpiła więc nowa selekcja. Odcięto część przeznaczoną do pozostania, reszcie zaś kazano wrócić do baraków. Nie chciały usłuchać i myśląc, że pójda na śmierć, poczęły przeciskać się do pierwszego szeregu. Tego było za wiele naczelnemu kierownikowi i znikł na chwilę ze swą świtą. Byliśmy przekonane, że poszli po Ukraińców by nas rozstrzelać. Panika i zgroza wzmożyły się. Tymczasem kazano nam udać się przed bramkę i teraz Wachführer i dyrektorzy wybrali młode, zdrowe, dobrze ubrane kobiety, które posłali do fabryki, resztę zaś odesłali do baraków.

W nocy rozeszła się wiadomość, że Wachführer został przekupiony przez żydowskie kierownictwo lagru, że podobno celowo kazał otworzyć w nocy bramkę i że bramy lasu nie będą strzeżone.

Bramy rzeczywiście nie były strzeżone, lecz był to podstęp. W nocy usiłowało uciec około 250 osób. Nad ranem rozległy się w lesie strzały. Niemcy oświetlili lager i jak się później okazało, wzmocniono wartę w lesie i prawie wszystkich zbiegłych zastrzelono w ciągu nocy.

Nad ranem zwołano apel. Na placu apelowym w pewnym momencie wacha się usunęła. Myślałyśmy, że już idzie Czerwona Armia. Radość była przedwczesna, bo zajechało auto z którego wysiadł oficer SS ze swą świtą i przez policjantów wywołał Żydówki z Niemiec, przede wszystkim z Lipska. W przemówieniu zapewnił nas, że wszystkie pojedziemy do Lipska do pracy, dostaniemy chleb na drogę i rzeczy z magazynu, żeby porządnie i czysto wyglądać w Niemczech. Rzucono się na maga-

zyn, sprytniejsze i silniejsze dostały płaszcze, które odebrano im później w Lipsku przy kąpieli. Po kilku godzinach załadowano nas do brudnych wagonów.

Część pojechała do Niemiec na dalszą udrękę, część zaś do Częstochowy, gdzie została uwolniona przez Czerwoną Armię znacznie wcześniej od nas.

Przez czas mego pobytu w obozie od listopada 1943 do lipca 1944 roku odbyły się dwie „akcje”: jedna w lutym 1944, druga bezpośrednio przed likwidacją obozu. Innych większych „akcyj” w tym okresie nie było. Tym niemniej zamknięci w nim, przeznaczeni byli na zniszczenie. Dokonać tego miał system. Głód, warunki higieny, choroby i praca, służyły jako środki likwidowania ludzi skazanych na śmierć. Przed śmiercią mieli oni złożyć okup w postaci wysiłku, wyciskanego do ostatka z niewolników, poddanych jarzmu niewolniczej pracy.

I cel ten Niemcy realizowali. Byliby go w stosunku do reszty osiągnęli, gdyby nie przebieg działań wojennych. Z końcem lipca zbliżył się front do Skarżyska, co zdecydowało o zlikwidowaniu obozu. Potrzebnych i jeszcze zdolnych do pracy więźniów powieziono dalej, naszą grupę w głąb Rzeszy, aż pod Lipsk.

Tak został zlikwidowany obóz w Skarżysku, na którego bramie widniał niewinny napis: „Hasag, Judenlager Werk C”.

TREŚĆ

	Str.
I. Wstęp	7
II. Przy pikrynie i trotylu	11

W NAJBLIŻSZYCH DNIACH UKAŻE SIĘ:

**Pamiętnik młodocianej więźniarki getta
we Lwowie i obozu „janowskiego“**

p. n.

„OCZYMA DWUNASTOLETNIJ DZIEWCZYNY“

W przygotowaniu:

„PIEŚŃ UJDZIE CAŁO“

Antologia poezji ghatt i obozów.

Opracował i szkicem wstępnym poprzedził
Michał M. Borwicz.

Nakładem Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej

ukazały się:

INSTRUKCJE dla zbierania materiałów historycznych z okresu okupacji niemieckiej. Str. 24.

INSTRUKCJE dla zbierania materiałów etnograficznych z okresu okupacji niemieckiej. Str. 16.

INSTRUKCJE dla badania przeżyć dzieci żydowskich w okresie okupacji niemieckiej. Str. 16.

Metodologiczne wskazówki do badań zagłady Żydostwa polskiego. Str. 47.

Mapa obozów na Śląsku.

ZAGŁADA ŻYDOSTWA POLSKIEGO (Album zdjęć fotograficznych).

Dr. Filip Friedman: Zagłada Żydów Lwowskich. Str. 38.

Leon Weliczker: „Brygada śmierci“ (pamiętnik). Str. 136

„Dokumenty i materiały“ Tom I.: Obozy (w opracowaniu N. Blumentala).

Sz. Szajewicz: Wiersze ghetta (w języku żydowskim).

W następstwie zespolenia wydawnictw Żydowskiej Komisji Historycznej w Polsce książki ukazywać się będą pod wspólną redakcją. W związku z tym „Książki Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie“ przygotowane jeszcze wyłącznie przez redakcję krakowską, obok numeru porządkowego wydawnictwa krakowskiego zawierać będą liczbę porządkową centralnej numeracji.

W serii „Książki Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie“

ukazały się:

„Dokumenty Zbrodni i Męczeństwa“. Antologia autentycznych zeznań świadków. Książka obejmuje działy: 1) W obozach. 2) Po miastach i miasteczkach. 3) Dzieci opowiadają. Str. 222 + XVI.

Gusta Draenger: „Pamiętnik Justyny“ (pisany w więzieniu przez współorganizatorkę Żydowskiej Organizacji Bojowej w Krakowie). Wstęp Józefa Wulfa. W tekście fotografia autorki i facsimile rękopisu. Str. 120.

Michał M. Borwicz: „Uniwersytet Zbirów“ (Rzecz o obozie „janowskim“ we Lwowie). Wstęp Marii Hochberg-Mariańskiej. W tekście 11 ilustracji — autentyczne fotografie oraz rysunki A. Fenichla, K. Ferstera i J. Baua. Str. 112.

Rudolf Reder: „Bełżec“ (Rzecz o grobie milionów Żydów jedyne ocalonego z komory gazowej w Bełżcu). Z wstępem Nelli Rost, zawierającym omówienie wiadomości i dokumentów, dotyczących wymienionej kaźni. W tekście m. in. fotografie, mapka Bełżca, rysunki A. Fenichla i J. Baua. Str. 72.

Michał M. Borwicz: „Literatura w obozie“. (Szkic o podziemnym życiu i twórczości literackiej więźniów „janowskiego“ obozu śmierci we Lwowie). W tekście liczne rysunki A. Fenichla i Karola Ferstera.

„W trzecią rocznicę zagłady ghetta w Krakowie“ (Księga zbiorowa. Zawiera m. i. następujące prace: Michał M. Borwicz: Do tych, którzy padli. Julian Przyboś: * * *. Jan Wiktor: Dzienniki. Nella Rost: Społeczeństwo Żydowskie w Krakowie w okresie okupacji. Z ruchu oporu w ghetcie Krakowa (Relacje uczestników). Gola Mirer: Wiem... Helena Wielowieyska: Boże Narodzenie w Krakowie. Laura Eichhorn: Wysiedlenie. Henryk Vogler: W kotle. Felicja Bannet: Ostatni pochód. Józef Wulf: Gebirtig i Neuman w ghetcie krakowskim. Kazimierz Wyka: Nad Otchłanią. Zuzanna Ginczanka: * * *. Menasche Lewertow: Z życia religijnego Żydów w Krakowie w okresie okupacji. Natan Gross: Żydowska młodzież Krakowa w okresie okupacji. Adam Włodek: Do Przyjaciela-Żyda. W ghetcie. Halina Nelken: Bławatki. Józef Bau: Przed wysiedleniem. Ila Karmel: Rocznicą. Zygmunt Lilienthal: Sytuacja prawna Żydów krakowskich w okresie okupacji niemieckiej. Dora Agatstein: Chronologia zarządzeń władz okupacyjnych w stosunku do Żydów Krakowa (tablice). Józef Sieradzki: Epizody i wnioski. Nachman Blumental: Słowa niewinne (Ze „Słownika okupacji“). Maria Hochberg-Mariańska: Dzieci. Adam Polewka: „To boli...“ Tadeusz Seweryn: Chleb i krew. Hanka Piekarska: Obowiązek. Niemieccy zbrodniarze z terenu Krakowa do r. 1943. Tadeusz Kubiak: Ghetto. Jakub Stendig: Dewastacja cmentarzy.

bóżnic i zabytków żydowskich Krakowa podczas okupacji hitlerowskiej. Ze strat kultury żydowskiej w Krakowie). W tekście liczne fotografie, plany i ilustracje. Str. 204.

Stefan Otwinowski: „Wielkanoc“ (Dramat o zbrojnym oporze ghetta). Z ilustracjami Antoniego Uniechowskiego. Wstęp Michała M. Borwicza. Str. 96.

oraz w języku żydowskim:

M. Gebirtig: „Es brent“. (Powstałe pod okupacją utwory zamordowanego przez Niemców znanego żydowskiego pieśniarza ludowego). Wstęp Józefa Wulfa.

